

Józef Jadach

Z lasowiackiej chaty w świat

Wspomnienia z mojego życia



Część pierwsza
Lata młodości, okupacja

Józef Jadach

Z lasowiackiej chaty w świat Wspomnienia z mojego życia

Część pierwsza

Lata młodości, okupacja



FUNDACJA
QUALITY QLTURE

Nowa Dęba

2025

Tekst autoryzowany przez syna autora – Tadeusza Jadacha

Opracowanie grafik i projekt okładki: Łukasz Nobis

Ilustracje: uczniowie Szkoły im. św. Jadwigi Królowej w Alfredówce

Komentarz kulturowy: Janusz Radwański

Komentarz historyczny: Tomasz Sudół

Redakcja: Magdalena i Michał Buczkowscy

Książka powstała dzięki współpracy

z Fundacją Polskiego Funduszu Rozwoju



PFR Fundacja





Wspomnienia z okresu przeżytych osiemdziesięciu jeden lat
ujmują wydarzenia i odczucia, które zapamiętałem,
zapisuję je na prośbę syna Tadeusza
dla moich Dzieci i Wnuków,
ku potomności.

Słowo wstępne dzieci autora

Tato był dziewięć lat starszy od mamy. Odszedł od nas trochę ponad rok po mamie, w dniu dwudziestym siódmym kwietnia 2023 roku. Miał dziewięćdziesiąt dziewięć lat.

Miał marzenie bycia zapamiętanym przez dzieci i wnuki. Chciał przenieść doświadczenia swojego życia ku potomności. W trudnych chwilach, które spotykał na swojej drodze, zwracał się o pomoc do Opatrzności. Miał osiemdziesiąt jeden lat, gdy odręcznie spisał te wspomnienia.

córka Małgorzata, syn Tadeusz i syn Józef Junior

Słowo wstępne wydawcy

Pamiętam ten dzień bardzo wyraźnie. Warsztaty genealogiczne w Nowej Dębie już się rozkręciły, uczestnicy opowiadali o swoich przodkach, wyciągali z teczek metryki, pożółkłe fotografie, odręczne notatki.

W pewnym momencie jedna z uczestniczek, pani Barbara Bzorek, położyła na stole coś, co od razu przyciągnęło mój wzrok – gruby, zapisany ręcznie zeszyt. Pamiętniki. Historia człowieka, który postanowił opowiedzieć o swoim dzieciństwie i dorastaniu w wiosce – w Budzie Stalowskiej. Tak po raz pierwszy spotkaliśmy się z pamiętnikiem pana Józefa Jadacha – ze światem, którego już nie ma, ale który wciąż żyje w słowach, w pamięci, w opowieściach.

Od tego momentu książka zaczęła się właściwie sama dopominać o swoje miejsce. Najpierw były warsztaty, na których pamiętnik stał się jednym z przykładów, jak można „ocalić od zapomnienia” własną historię i historię miejsca. Potem była rozmowa na forum Fundacji Q: co z tym zrobić? Jak nie zgubić tego rękopisu między innymi działaniami, projektami, pilnymi sprawami?

Bardzo szybko pojawiła się myśl, że to nie może zostać tylko w jednej szufladzie. Że trzeba ten pamiętnik wydać — nie po to, by zrobić z niego „wielką literaturę”, ale po to, by Józef Jadach, autor tych zapisków, dostał należne mu miejsce w opowieści o tej ziemi, a jego świat mógł przemówić do kolejnych pokoleń.

To wydawnictwo powstało więc z kilku prostych, ale potężnych impulsów: z ciekawości, z szacunku do pamięci i z poczucia odpowiedzialności za lokalną historię. A także z wdzięczności — wobec kogoś, kto zadał sobie trud, by swoje doświadczenia zapisać. W czasach, w których tak wiele rzeczy ginie w przepływie informacji, ten spokojny, odręczny zapis działa jak kotwica.

Kiedy po raz pierwszy czytałem te zapiski, uderzyło mnie, jak bardzo są „zwyyczajne” — i jak bardzo dzięki temu są niezwykle. Nie ma tu akcentu na wielką politykę, spektakularne bitwy, pomnikowych bohaterów. Jest wieś. Dzieciństwo. Zwykłe zajęcia, praca, sąsiedzi, pory roku, małe radości i małe dramaty. A jednak właśnie z takich historii zbudowany jest świat, w którym żyjemy.

Genealogia uczy, że za każdym suchym wpisem w księdze metrykalnej stoi konkretna twarz, głos, czyjś śmiech, czyjś lęk. Pamiętnik Józefa Jadacha, który trzymasz teraz w ręku, jest próbą ocalenia tej żywej warstwy – tego, co zazwyczaj nie trafia do oficjalnych kronik. To opowieść o wioskach i miastach widzianych oczami dziecka, a potem młodego człowieka. O tym, jak wyglądał dom, jak pachniał las, jakie dźwięki budziły rano, jakie zasady rządziły codziennością.

Dla mnie osobiście ważne było, żeby tej opowieści nie „zagadać”, nie przykryć jej zbyt grubą warstwą komentarzy i mądrych słów z zewnątrz. Chciałem, żeby głos autora pamiętnika wybrzmiał jak najbardziej bezpośrednio. Naszą rolą – moją, zespołu Fundacji Q, osób zaangażowanych w ten projekt – było przede wszystkim zadbanie o to, by ten głos mógł dotrzeć do czytelnika w możliwie czytelnej, estetycznej i szanującej oryginał formie.

W pewnym momencie pojawił się pomysł, który dla tej książki okazał się kluczowy: oddajmy jej ilustracje w ręce dzieci. Zaprosiliśmy do współpracy uczniów ze szkoły podstawowej w Alfredówce. Dla mnie to był moment, w którym projekt zyskał zupełnie nowy wymiar.

Dzieci dostały fragmenty tekstu i opowieść o tym, kim był autor pamiętnika, skąd pochodził, o jakim świecie pisał. Potem zaczęły rysować. Nie po to, by „wiernie odwzorować realia historyczne” — nie chodziło o akademicką rekonstrukcję, tylko o spotkanie. O to, żeby współczesne dzieci spróbowały zobaczyć oczami wyobraźni czyjeś dzieciństwo sprzed lat. Czasem rysowały tak, jakby to działo się dziś. Czasem intuicyjnie chwytaly detale, które w tekście są tylko jednym zdaniem. Czasem dokładały coś od siebie.

Powstał z tego niezwykły dialog pokoleń: dorosły człowiek, który wspomina własne dzieciństwo, i współczesne dzieci, które próbują je zrozumieć, dorysowując mu tło. Dzięki temu ta książka nie jest tylko dokumentem z przeszłości. Jest żywą rozmową — między tymi, którzy pamiętają, a tymi, którzy dopiero uczą się słuchać.

Kiedy oglądałem te ilustracje, czułem coś bardzo prostego: właśnie o to chodzi w pracy z pamięcią. Nie tylko o przechowywanie dokumentów w teczkach, skanowanie, porządkowanie. Chodzi o to, by pamięć krążyła. By była dotykana, interpretowana na nowo, stawiała się częścią czyjegoś świata. Wtedy ma szansę przetrwać.

Drugim ważnym wymiarem tej książki jest współpraca z ludźmi, którzy zawodowo zajmują się historią, etnografią, dziedzictwem. Rękopis trafił do naukowców, m.in. do Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej. To była dla mnie ważna lekcja: lokalna, „oddolna” inicjatywa może spotkać się z instytucją, która na co dzień pracuje z archiwami, kolekcjami, badaniami. I kiedy obie strony patrzą na siebie z ciekawością i szacunkiem, zaczyna się coś bardzo wartościowego.

Ten pamiętnik jest jednocześnie prywatnym świadectwem i ważnym źródłem dla osób, które próbują zrozumieć, jak wyglądało życie w takich miejscach jak Buda Stalowska, Jadachy, Bukie. Jak mówiło się o świecie, jak go nazywano, jakie znaczenie miały gesty, święta, zwyczaje, praca. To, co dla autora było po prostu „normalnością”, dla badaczy staje się skarbnicą szczegółów.

Cieszę się, że udało się połączyć te perspektywy: człowieka z pamiętnikiem, lokalnej społeczności, dzieci z Alfredówki, Fundacji Q i instytucji naukowych. Mam poczucie, że dzięki temu ta książka jest

mocno zakorzeniona — w konkretnej ziemi, w konkretnych ludziach i w konkretnym wysiłku, który w nią włożyliśmy.

Żadna taka publikacja nie powstałaby jednak bez partnerów, którzy są gotowi zaufać, że „mała historia” jest warta dużego zaangażowania. Na pewnym etapie naszej pracy okazało się, że kluczowe będzie znalezienie środków, by ten projekt mógł wyjść poza etap dobrych chęci. Wtedy wsparcia udzieliła nam Fundacja Polskiego Funduszu Rozwoju, która zdecydowała się sfinansować wydanie książki.

Dla mnie to ważny sygnał: instytucja kojarzona z inwestycjami i rozwojem (Fundacja PFR), rodzina autora, lokalna fundacja, szkoła, muzeum — wszyscy oni spotykają się przy jednym rękopisie. Rozwój to nie tylko nowe drogi, fabryki i technologie. To też zakorzenienie. Świadomość, skąd jesteśmy. Rozumienie języka, którym mówili nasi dziadkowie i pradziadkowie. Bez tego wszystkie nowoczesne projekty wiszą w powietrzu.

Dlatego chcę podziękować:

Barbarze Bzorek — za to, że przyniosła pamiętnik na warsztaty i że nie pozwoliła mu zniknąć w ciszy.

Józefowi Jadachowi — za to, że opisał swój świat.

Rodzinie Autora, a szczególnie Tadeuszowi Jadachowi — za zaufanie, zaangażowanie i gotowość do współpracy na każdym etapie przygotowania tej książki.

Magdalenie Buczkowskiej — za uważne prowadzenie rozmów redakcyjnych i ogrom pracy włożonej w opracowanie tekstu.

Dzieciom i nauczycielom ze szkoły podstawowej w Alfredówce — za ilustracje, za zaangażowanie i za to, że podeszli do tego zadania serio i z sercem.

Osobom z Muzeum i wszystkim, którzy przykładali rękę do opracowania tej publikacji.

Zespołowi Fundacji Q – za cierpliwość, pracę redakcyjną, organizacyjną i za to, że potrafimy razem doprowadzać takie pomysły do końca.

I wreszcie – Fundacji Polskiego Fundusz Rozwoju za wsparcie finansowe, które zamieniło nasz plan w realną książkę.

A Ty – Czytelniczko, Czytelniku – trzymasz teraz w ręku efekt tej całej drogi. Rękopis, który przeszedł przez warsztaty genealogiczne, fundacyjne dyskusje, biurka redaktorskie, szkolne ławki, etnograficzne konsultacje i proces wydawniczy. Ale w gruncie rzeczy wciąż jest tym samym: próbą opowiedzenia o życiu tak, jak się je wtedy przeżywało.

Chciałbym Cię zaprosić do lektury bez pośpiechu. Do takiego czytania, w którym pozwalamy sobie na to, by niektóre zdania zadźwięczały mocniej. Może przypomną Ci dzieciństwo w zupełnie innej części Polski, a może w innej części świata. Może zobaczysz w nich fragment historii swojej rodziny. A może po prostu poczujesz, że to,

co „małe”, „zwykłe” i „codzienne”, jest w istocie naszym wspólnym, najważniejszym dziedzictwem.

Jeżeli ta książka sprawi, że ktoś sięgnie po rodzinne pudełko ze zdjęciami, zapyta babcię albo dziadka o ich młodość, zacznie spisywać czyjeś wspomnienia – to znaczy, że spełniła swój cel. Jeśli sprawi, że spojrzysz inaczej na wieś, o której tu mowa – jak na miejsce pełne konkretnych ludzi, a nie tylko punkt na mapie – to również będzie jej sukces.

Dla mnie osobiście ta publikacja jest potwierdzeniem, że praca z pamięcią ma sens. Że genealogia to nie tylko daty i nazwiska, ale żywe opowieści. Że fundacja może być przestrzenią, w której takie historie nie tylko się opowiada, ale też materialnie chroni – w formie książek, wystaw, spotkań. I że czasem wystarczy jeden zeszyt przyniesiony na warsztaty, by uruchomić cały łańcuch zdarzeń, który kończy się w drukarni.

Na końcu chciałbym powiedzieć jeszcze jedno: ta książka nie zamyka historii wsi lasowickiej. Ona ją otwiera. Jest jedną z wielu możliwych opowieści. Być może po jej lekturze odezwą się inni — z kolejnymi pamiętnikami, listami, fotografiami, historiami. Być może powstaną następne tomy, kolejne projekty, nowe formy współpracy między szkołami, instytucjami kultury i organizacjami społecznymi.

Jeśli tak się stanie, będzie to najlepszy dowód, że Józef Jadach miał rację, ufając, że warto jego świat opisać. A my — mieliśmy rację, wierząc, że warto wydać jego wspomnienia.

Dziękuję, że sięgasz po tę książkę. I zapraszam do lektury — jak do spokojnej rozmowy przy kuchennym stole, w której ktoś starszy opowiada, jak to drzewiej bywało, a my po prostu słuchamy.

Marcin Kurnik,

Fundacja Q

I Moi Rodzice

Mój Tata

Mój Tata Jan urodził się w roku 1898 w Jadachach jako najstarszy syn dróżnika (konserwatora dróg publicznych). Jako młodociany wyjechał z kraju za chlebem do Kanady. Tam spotkała go pierwsza wojna światowa. Gdy tamtejsza Polonia organizowała ochotniczy oddział mobilizacyjny z myślą o pomocy militarnej dla Polski, podwyższył sobie wiek o dwa lata, co umożliwiło mu wstąpienie do tych ochotniczych hufców wojskowych¹.

Wyjechał do Francji, gdzie organizowały się oddziały pod dowództwem generała Hallera. Został włączony do oddziałów, które dotarły do kraju. Ich droga żołnierska prowadziła przez Wielkopolskę do południowych kresów wschodnich. W 1920 roku oddziały Hallera²

¹ Kanada była istotnym miejscem rekrutacji i szkolenia polskich ochotników, którzy zasilali armię generała Józefa Hallera, która powstała we Francji w 1917. W latach 1917-1919 w miejscowości Niagara-on-the-Lake działał polski obóz szkoleniowy.

² Józef Haller von Hallenburg (1873-1960) w latach 1918-1919 był dowódcą naczelnym Armii Polskiej we Francji zwanej Błękitną Armią, która po powrocie do Polski wzięła udział w walkach z Armią Czerwoną. W 1920 roku Haller objął stanowisko Generalnego Inspektora Armii Ochotniczej Wojska Polskiego, powołanej do obrony przed zagrożeniem ze strony bolszewików.

(nosiły charakterystyczne niebieskie mundury) dotarły do Kijowa³.

Za czyn bojowy, jaki miał miejsce w czołowym oddziale frontu, otrzymał wojskowy Krzyż Walecznych⁴. Po zakończeniu wojny marszałek Piłsudski zobowiązał się swoim żołnierzom zapewnić miejsce pracy. Powrócił więc ojciec do rodzinnej wsi Jadachy i otrzymał pracę w dyrekcji lasów hrabiego Tarnowskiego⁵ w Budzie Stalowskiej. Początkowo na stanowisku brygadzysty w tartaku⁶, a następnie jako strażnik w gospodarstwie rybnym w okolicy Budy Stalowskiej. Założył rodzinę i zamieszkał w Budzie Stalowskiej, w mieszkaniu służbowym.

Był człowiekiem bardzo służbowym, poddanym chlebodawcy, bardzo cenionym i poważanym przez przełożonych. Miał bowiem już pewne doświadczenia z wojska, jak obowiązkowość, służbowość, umiejętność obcowania z ludźmi. Był ogólnie szanowany. Zwykle otrzymywał

³ Wyprawa kijowska (czasem: Operacja ukraińska) – część wojny polsko-bolszewickiej, ofensywa Wojska Polskiego i armii Ukraińskiej Republiki Ludowej przeciwko Armii Czerwonej na Kijów w kwietniu 1920 zakończona zajęciem Kijowa. Armia Hallera nie brała udziału w wyprawie kijowskiej w 1920.

⁴ Krzyż Walecznych (KW) – polskie odznaczenie wojskowe ustanowione w 1920 roku nadawane za czyny męstwa i odwagi w boju.

⁵ Zdzisław Tarnowski (1862-1937) – ziemianin, przemysłowiec, polityk.

⁶ Tartak w Budzie Stalowskiej znajdował się naprzeciwko budynku dyrekcji lasów. Po drugiej stronie drogi. Drzewo do tartaku dowoziła kolejka wąskotorowa. Jej nasyp jest wciąż widoczny w terenie.

trudniejsze zadania do wykonania. Darzony był dużym zaufaniem ze strony przełożonych, jak i ze strony najbliższego otoczenia. Kolejno awansował i otrzymywał coraz lepsze warunki mieszkaniowe.

Zapamiętałem incydent, jaki spotkał Tatę ze strony hrabiego Tarnowskiego, do którego został wezwany na dywanik. Powodem tego było nadużycie służbowe, jakie Tata popełnił, a mianowicie „zorganizował” sobie tarcicę dębową na wykonanie wozu. Materiały te przechowywał w stodole w Jadachach w celu wysuszenia. Sąsiad podpatrzył, zameldował do hrabiego.

Relacje ze spotkania u hrabiego otrzymałem od brata Taty — Michała, który przygotował Tatę do spotkania. Zalecił Tacie ubrać się świątecznie, buty wyczyścić, by błyszczały, ładnie się ogolić oraz przypiąć Krzyż Walecznych, otrzymany w trakcie kampanii przeciw bolszewikom w 1920 roku.

Tak też Tata się przygotował. Po wejściu do gabinetu zameldował się jak w wojsku — trzaskając obcasami, zgłaszając stawienie się służbowe na wezwanie. Usłyszał słowo „mów”. Kiedy Tata mówił, hrabia nawet nie podniósł głowy do góry. Nie przyglądał się. Był

zajęty swoim biurkiem. Kiedy Tata skończył swoją spowiedź i złożył postanowienie poprawy — nastąpiła chwila milczenia. Po niej hrabia podniósł głowę i zauważył Krzyż Walecznych na piersiach Taty. Odezwwał się: „co tam masz?”. Tato odpowiedział: „Krzyż Walecznych za wojnę z bolszewikami”. „Siadaj i opowiadaj”.

Tata opowiadał, a hrabia zadawał nowe pytania i tak rozmowa służbowa przerodziła się w towarzyską, łączącą się z tematem zwierzyny łownej, gdyż hrabia znany był jako zapalony myśliwy. Hrabia zapowiedział Tacie, że weźmie go na polowanie, by Tata pokazał, gdzie jest zwierzyna. Na zakończenie hrabia powiedział: „jeżeli cokolwiek będziesz potrzebował ode mnie, to przyjdź i powiedz”.

Spotkanie to spowodowało, że Tata na życzenie hrabiego towarzyszył mu w polowaniach. Hrabia zatrzymywał się samochodem przed naszym domem. Tata meldował się, stojąc na baczność, następnie stawał na półce za plecami hrabiego i tak mu towarzyszył.

Sposób, w jaki był traktowany Tata przez hrabiego, został łatwo zauważony przez przełożonych, dlatego też spotykał się z ich i otoczenia życzliwością. Tak byli poważani, w tym czasie, uczestnicy wojny z bolszewikami.

Poza normlaną pracą w gospodarstwie rybnym, w okresie zimowym Tata wykonywał otropienie⁷ dziczyzny po śladach pozostawionych na śniegu. To pozwalało na ustalenie stanu dziczyzny w danym łowisku.

Tata miał dwóch braci. Michała, który pracował jako dróżnik — małżeństwo jego było bezdzietne. Oraz brata Franciszka, który był krawcem z dyplomem mistrzowskim, jaki uzyskał w Krakowie. Franciszek miał córkę Janinę i dwóch synów: Jana i Józefa, którego trzymałem do chrztu.

Tata zmarł w wieku emerytalnym, mając siedemdziesiąt cztery lata.

Moja Mama

Moja Mama Anna urodziła się siedemnastego lipca 1900 roku w Jadachach, w tym samym domu, co i ja. Z rodzeństwa miała tylko siostrę Marię, która urodziła czterech synów. Od najstarszego: Józef, Jan, Władek i Franek. Najbardziej zaprzyjaźniłem się z Józefem, bo jakiś czas mieszkał w domu moich rodziców. Była to pomoc materialna siostrze w wychowaniu dzieci, gdyż jej mąż

⁷ Ustalenie liczności zwierzyny na danym terenie.

wyjechał za chlebem do Francji i wrócił, gdy już synowie byli dorośli.

Kuzyn Józef w okresie okupacji niemieckiej został wywieziony na roboty do Hamburga⁸. Tam przeżył ciężkie bombardowania miasta. Wrócił po zakończeniu wojny do Jadachów i założył rodzinę. Pewnego razu został zaproszony na wesele w rodzinie. Poszedł tam z żoną i na tym weselu stracił życie. Został porażony piorunem kulistym, który wpadł do domu weselnego. Kuzyn był oparty o drzwi i ucierpiał najbardziej. Kilka innych osób zostało trochę poparzonych. Pierwszej pomocy udzielono kuzynowi niewłaściwie. Został przykryty ziemią, bo ziemia miała jakoby prąd wyciągnąć. Takie wtedy utrzymywało się przekonanie. Przybyły lekarz potwierdził zgon.

Jego śmierć przeżyłem szczególnie, bo bardzo się z nim zżyłem i nie mogłem sobie poradzić z tym, że zginął w ten sposób.

Moja Mama, jako młoda dziewczyna, podjęła pracę u leśniczego w Budzie Stalowskiej. Pracowała jako służąca, jako pomoc domowa. Z tego okresu szczególnie zapamiętałem epizod, o którym nam, dzieciom opowiadała.

⁸ Najpewniej nieprecyzyjna informacja. Na temat wskazanej osoby brak informacji w bazie straty.pl (dostęp: trzeciego grudnia 2025).

Pewnego dnia, kiedy przyjmowani byli goście, Mama wynosiła z pokoju biesiadnego talerze. Jakiś młodzieniec zastąpił jej drogę i zamierzał chwycić za kolano. Mama tak zareagowała, że wypuściła z rąk stos talerzy na podłogę. Przerażona, z płaczem wybiegła przed dom. Uważała, że zostanie zwolniona z pracy, bo spowodowała dużą szkodę materialną. Zależało jej na tej pracy. Dobrze czuła się w tym domu. Pani domu podeszła i spytała jak to się stało. Ucałowała Mamę. Uspokoili ją i zapewniła, że nie zostanie zwolniona. Natomiast w stronę tego młodzieńca skierowała jakieś pretensje i uwagi.

Mama, pracując tam, gdzie dom był prowadzony na wyższym poziomie w porównaniu do ubogiej chaty na wsi, nabrała doświadczenia w prowadzeniu domu i gospodarstwa domowego.

Rodzice poznali się w Budzie Stalowskiej, a ślubowali sobie w kościele w Miechocinie⁹ na przedmieściach Tarnobrzegu, gdyż w tym czasie kościoła w Chmielowie¹⁰ jeszcze nie było.

⁹ Parafia utworzona jeszcze w średniowieczu przez wieki obejmowała bardzo rozległy teren, parafianie mieli czasem do kościoła około dwadzieścia kilometrów. Dziś jest to Parafia św. Marii Magdaleny w Tarnobrzegu.

¹⁰ Parafia św. Stanisława w Chmielowie została wydzielona z miechocińskiej w 1924 a kościół wybudowano dwa lata później, w 1926.

Mama zmarła osiemnastego lipca 1989 i spoczywa razem z Tatą na cmentarzu w Chmielowie.

II Moje dzieciństwo – do lat szkolnych

Mieszkałem w Jadachach

Urodziłem się w dwudziestego pierwszego stycznia 1924 w wiejskiej chacie. Chata była stara, mocno zniszczona (zużyta) i niska. Miała małe okna, podłogę z ubitej gliny, małe, niskie drzwi oraz wysoki próg. Drzwi zamykane były zasuwą drewnianą. Dach był kryty słomą. Odwiedzałem tę chatę później wiele razy jako mały chłopiec.

Chata różniła się bardzo od mieszkania zajmowanego przez Rodziców w późniejszym czasie. W tamtym pierwszym domu była jedna izba z kuchnią, dwa łóżka, na których złożona była wysoko pękata pościel, wypełniona pierzem gęsim, a brzegi łóżka strojne były w haftowane wzory. U góry nad łóżkami była grzędą¹¹, na której leżała odzież, bielizna lub pasma nici ze lnu i konopi (szafy na odzież mało były jeszcze znane na ubogiej wsi). Ściany domu z drewna miały szpary wypełnione runem leśnym.

W rogu pomieszczenia stał wymurowany duży piec (dwa na dwa

¹¹ Grzędą – żerdź, na której przed upowszechnieniem się szaf na wsi lasowiackiej wieszano się odzież, zwykle koto pieca, co ułatwiało jej schnięcie.

metry), w którym wydzielona była część do wypieku chleba (pieczonego raz w tygodniu) i palenisko do gotowania, na które nałożone były płyty żeliwne do ustawiania na nich żeliwnych garnków. Obok, na tym samym poziomie, znajdowała się płyta z cegły, na której ustawiany był trójnóg metalowy¹². Na nim ustawiano garnki. Pod spodem było palenisko.

Gotowanie na trójnogu miało tę zaletę, że równocześnie oświetlało mieszkanie. Nad kuchnią był duży okap wyprowadzający spaliny. Na górze dużego pieca znajdowało się miejsce do suszenia zboża przed jego mieleniem w żarnach na mąkę. Miejsce to było używane również jako miejsce do spania lub ogrzewania, docieplenia się, kiedy ktoś z rodziny był przeziębiony. Pamiętam, że jako dziecko wiele razy wygrzewałem grypę, ale to było już na piecach w innych mieszkaniach, które zajmowaliśmy. Były to piece, w tamtych czasach podobne i typowe na wsi. W tej samej kuchni gotowana była również karma dla zwierząt gospodarskich.

Do oświetlania mieszkania używane były lampy naftowe, zawieszane

¹² Trójnóg, tryfus, dynarek – metalowy trójnóg, na którym gotowano przede wszystkim latem, gdy palenie pod blachą i nagrzewanie całego pieca byłoby uciążliwe dla mieszkańców izby.

na ścianie. Lusterko, które było umieszczone od strony ściany, odbijało światło na wewnątrz mieszkania.

Na podłogi, szczególnie w pokoju, układane były chodniki wykonane z pasm starej, zużytej odzieży. Chodniki takie tkane były na warsztacie tkackim, w którym czótenko z nicią było ręcznie przemieszczane. Chodniki miały kolorowe pasma w zależności od koloru użytego materiału. Warsztatów tkackich zwykle było kilka na wsi i wykonywały usługi dla wszystkich mieszkańców.

W kuchni znajdowała się niska ława do spożywania posiłku. Stół najczęściej stanowił ozdobę pomieszczenia i stały na nim kwiaty wazonowe¹³. Tak wyglądały i tak skromnie wyposażone były chaty na wsi.

Urodziłem się w takiej chacie. Mama mówiła, że jako niemowlę stale płakałem. Nie dawałem spać. Poplątał mi się dzień z nocą. Porody na wsi odbierały wówczas babki — znachorki. To one ustaliły, że płaczę dlatego, że woda po pierwszej kąpieli niemowlaka nie została wylana

¹³ Na łasowiackiej wsi stół zaczął się w wyposażeniu izb upowszechniać późno i z początku był meblem odświętnym, służącym za domowy ołtarzyk, a jedynie przy specjalnych okazjach spożywano przy nim posiłek. Na co dzień jedzono tak, jak wrodzinnym domu autora — przy ławach.

w sposób, jaki określała wielowiekowa tradycja¹⁴.

Mieszkałem w Budzie Stalowskiej

W roku 1925 Rodzice otrzymali tam mieszkanie, w domu jeszcze istniejącym przy dojeździe do Budy Stalowskiej — po lewej stronie przy mostku. Mieszkaliśmy tam około trzech lat. Z tego miejsca zapamiętałem, jak się pluskałem w wodzie przepływającego obok domu kanału, tego samego, który płynie obok Bukiego¹⁵.

Najbardziej zapamiętałem taki szczegół, gdy rodzice walczyli z pluskwami występującymi w tym domu. Tata nagrzewał wody gorącej do dzbanka — wchodził na strych i wylewał w szpary między tarcicą sufitu. W tych szparach gnieździły się pluskwy. W nocy spadały na dół i atakowały mieszkańców. Była ich wielka ilość.

Nie wygrali Rodzice tej wojny z pluskwami i po jakimś roku zmieniliśmy mieszkanie.

¹⁴ Wierzano m.in. że nie wolno wylać wody po kąpieli dziecka po zachodzie słońca.

Mogło to spowodować na dziecko długotrwały płacz wskutek uroku lub podmienienia przez mamunę — półdemoniczną istotę podmieniającą dzieci.

¹⁵ Folwark między Budą Stalowską a Stalami.

Mieszkałem w Cegielni koło Bukiego

Były to budynki gospodarcze po byłej cegielni¹⁶, oddalonej około trzy kilometry od Budy Stalowskiej. Tu nie było już pluskiew, ale za to była plaga węży. Mieszkaliśmy tu też blisko trzy lata. Z tego okresu szczególnie pamiętam te węże. Były ich takie ilości, że wydajały¹⁷ krowy. Gdy pobierałem w stodole siano dla krów, musiałem najpierw grabiami przepędzać węże.

Pewnego razu jedliśmy kolację, było już po zmierzchu, gdy usłyszeliśmy, że coś spadło z okna do wewnątrz mieszkania. Był to okazały wąż.

Najbardziej zaś zapamiętałem taki obrazek — mój brat Władek, którego wyprowadziłem na podwórko i usadowiłem na trawie, bawił się wężem. On trzymał cienki patyk w ręku, a wąż z podniesioną przednią częścią ciała, jakby siedział na brzuszku i syczał. Usłyszałem to z daleka. Zaniepokoiłem się, bo w tym terenie, jak Tato informował, były również węże jadowite — żmije. Podeszedłem, wąż sam odstąpił

¹⁶ Na mapach WIG widoczne jest miejsce opisane jako „Pod Cegielnią”, zlokalizowane na południowy wschód od Krzyżowych Mostów.

¹⁷ Popularne wśród Lasowiaków było przekonanie, że węże żywią się krowim mlekiem, które wysysają z wymion; jeśli krowa się nie doiła, przypisywano to nieraz wpływowi węży.

od brata.

W okresie składnia jaj przez węże, było ich szczególnie dużo w miejscach nasłonecznionych, na wydreptanych ścieżkach. Nie było to miłe dotknięcie ich gołą nogą, bo wówczas odczuwało się ich śliskie zimno.

Miałem również takie spotkanie z rybami. Mieszkaliśmy w sąsiedztwie stawów rybnych. Zapamiętałem, że pewnego dnia Tata z jakimś panem wyszli na łąkę przy stawie. Z ciekawości podążałem za nimi i zobaczyłem taki mały, płytki staw, a w nim pływające małe rybki. Zachowałem się jak to dziecko. Woda zachęcała do siusiana. Tak też zrobiłem. Kiedy zauważył mnie ten pan i Tata, to zaczęli na mnie krzyczeć, że wytruję rybki. Zawstydzilem się i uciekłem. Tata mi później wytłumaczył, że to są małe rybki, że wymagają ciszy, czystej wody. Powiedział mi również, że ten pan to Taty przełożony, inżynier Talaga¹⁸. Wziął mnie za rękę i poszliśmy do domu.

Inżynier Talaga, gdy spotkał mnie kiedykolwiek w przyszłości, to przypominał mi, jak sikałem rydom do wody.

¹⁸ Inspektor łąk w dobrach hrabiostwa Tarnowskich.

Mieszkałem na Kosiarzowym Grądzie

W roku 1928 Rodzice otrzymali miłą wiadomość, że otrzymują nowo wybudowane mieszkanie z budynkiem gospodarczym. Od Cegielni Kosiarzów Grąd oddalony był o cztery kilometry. Jechaliśmy wozem, by poznać zachwalany dom. Droga, jaką jechaliśmy, była w przebudowie – podwyższano ją, gdyż miała równocześnie pełnić rolę wału oporowego dla wody w stawie rybnym. Przejechaliśmy Krzyżowe Mosty¹⁹ i dalej jechaliśmy w tym samym kierunku. Z lewej strony ujrzelśmy duże połacie kwiecistych łąk, z prawej stawy rybne.

Gdy zobaczyłem roboty ziemne, spostrzegłem wózki metalowe poruszane po szynach. Prosiłem Rodziców, by zabrali jeden wózek do domu. Rodzice długo mi tłumaczyli, że to nie jest wózek do zabawy.

Niedługo zza kępy drzew liściastych wyłonił się nam duży, wysoki budynek, ogrodzony ostrokołami. Zbliżając się, w pierwszej kolejności spotkaliśmy się z ogrodzeniem, które otaczało dwa hektary działki. Takiego ogrodzenia dotychczas nie widziałem. Pięć żerdzi złożonych poziomo, spiętych słupkami. Tata wyjaśnił mi, że to ogrodzenie, to

¹⁹ Miejsce, w którym następuje zespolenie rzek: Dęby i Dąbrowki.

ochrona działki rolnej przed dzikami, których tu nie brakuje. Dzikie w czasie jednej wizyty mogły zniszczyć dużą powierzchnię uprawy.

Dojechaliśmy do bramy. Tata otworzył. Przy wejściu na podwórkę odczuwało się zapach żywicy. Zaczęliśmy zapoznawać się z obiektem. Dom o wysokiej zabudowie, na podmurówce, dach kryty gontami, weranda, warzywnik oddzielnie ogrodzony. Wewnątrz podłogi z tarcicy. Zabudowania gospodarcze stanowiły jeden budynek. Na podwórku dwa wysokie dęby. Obok studnia z żurawiem do czerpania wody.

Zauważyłem, jak Rodzice byli zadowoleni z proponowanego nam mieszkania. Mama martwiła się tylko, że nie ma sąsiadów. Do najbliższego domu było około trzy kilometry. Tata potwierdził przełożonym swoją zgodę na zamieszkanie w tym miejscu.

Przeprowadzka nastąpiła szybko. Przełożony Taty, inżynier Prawocheński²⁰ dostarczył konie i wozy z pobliskiego folwarku Bukie i tak rozpoczęliśmy nowy etap życia na Kosiarzowym Grądzie.

²⁰ Roman Prawocheński (junior), syn Romana Prawocheńskiego (1877–1965).

Tradycje rodziny w okresie świąt Bożego Narodzenia

Przeprowadziliśmy się jesienią i najbliższe Boże Narodzenie spędziliśmy w nowych warunkach domowych. Mama wprowadzała i realizowała formy i zwyczaje w domu, jakie wyniosła z własnego domu.

Jak przebiegało przygotowanie do świąt? Mieszkanie odświeżone, w kuchni został na środku ustawiony stół. Tata przyniósł do domu wiązkę siana. Część siana została w cienkiej warstwie rozłożona na stole, pozostała część ułożona była pod stołem. Pod stołem umieszczona była też dzieża z drewna, w której przygotowane było ciasto na chleb. Na dzieży ułożone były wysuszone kwiaty, które były święcone w święto Matki Boskiej Zielnej (piętnastego sierpnia). W dzieży zawsze pozostawiony był zakwasek ciasta na następny wypiek. Nie używano kupnych drożdży. W rogu kuchni Tata ustawił snop słomy.

Tradycyjna choinka uwieszana była u sufitu. Tak, że można było przekręcać ją w kółko. Strojenia choinki dokonywała cała Rodzina. Z tym, że dzieci stroiły do wysokości dla nich możliwej. Rodzice zaś

górne partie. Na choinkę wieszano różne ozdoby z kolorowej bibuły połączonych ze słomą, upieczone ciastka, szyszki zebrane w lesie.

Sam dzień wigilijny był oczekiwany i przeżywany. Obowiązywał ścisły post – głodówka, uciążliwa szczególnie dla dzieci. Sama wieczerza była przygotowywana przez Mamę. Obowiązywała tradycja dwunastu potraw, bo tylu było apostołów. Niemąta to była dla Mamy trudność, więc wymyślała różne potrawy, przeplatając te same składniki.

Do smażenia używany był olej wytłoczony z lnu. Na zapalenie choinki i odśpiewanie pierwszej kolędy czekaliśmy do pierwszej gwiazdki. Pamiętam, jak my, dzieciaki, wychodziliśmy przed dom i wyszukiwaliśmy gwiazdki. Kiedy niebo było zachmurzone, o rozpoczęciu uroczystości decydowali Rodzice.

Po zakończeniu wieczerzy przygotowywaliśmy się do wyjścia do zwierząt gospodarskich. Wychodziliśmy całą rodziną z latarką w ręku. Zabieraliśmy resztki ze stołu wigilijnego, siano spod stołu. Zwierzęta witały nas swoim głosem: koniki rżały, krówki ryczały, świnki rechotały, kurki kokotały, pieski szczekały, kotki miały.

Natomiast nie jest to prawdą, że zwierzęta śpiewały kolędy swoim głosem.

Oddzielne zwyczaje były w Sylwestra. W dzień Tata z przeniesionego snopka słomy wybierał małe pęki i starał się wbijać je w szczelinę między belkami a powatą. Ile ździebeł słomy udało się pozostawić przy suficie, to miało świadczyć o stopniu przyszłego urodzaju. Żdźbła te wisały do święta Trzech Królów.

Tradycją było też oczekiwanie na pierwszą gwiazdkę, po jej ukazaniu się wychodziliśmy na zewnątrz. Tata brał strzelbę i strzelał na powitanie Nowego Roku. W okresie późniejszym, kiedy ukończyłem już pięć lat, Tata, trzymając sam strzelbę — pozwalał mi pociągnąć za spust (cyngiel).

Tradycje świąteczne przestrzegane były również w latach następnych, z tą tylko różnicą, że przekonaliśmy Mamę o zaniechaniu używania ciemnego, o nieprzyjemnym zapachu oleju lnianego. Mama ustąpiła, ale zawsze starała się utrzymywać tradycję. Mówiła, że tradycja to rzecz święta, tak postępowali nasi przodkowie a ich przecież szanujemy. Mój Tata natomiast nie przestrzegał tak rygor-

stycznie wszelkich tradycji, jemu mieszał się już miejscowy zwyczaj z tym, co zobaczył w szerszym świecie.

Narodziny najmłodszego brata Andrzeja

W następnym roku (1929) urodził się mój najmłodszy brat. Zainteresowało mnie zamieszanie, jakie zauważyłem w domu. Częste szeptanie między Rodzicami. Tata wyszedł z domu i po jakimś czasie wrócił z Drągową z Bukiego. Ta — pamiętam — przystąpiła z miejsca do zapalenia w piecu i nastawiła do grzania wody w garnkach. Nie mogłem dalej obserwować, bo Tata wyszedł ze mną na spacer w pobliżu domu. Tato mało rozmawiał ze mną, a zauważyłem, że bardziej interesuje się tym, co się dzieje w domu.

Po jakimś czasie wyszła Drągowa, zawołała Tatę, coś z nim porozmawiała chwilę. Tata mnie zawołał i powiedział, że mam małego braciszka. Nie podobał mi się. Ale zastanawiałem się, skąd tu się wziął — przecież nie widziałem bociana, a cały czas stałem przecież przed domem.

Z opowiadania Mamy w późniejszym czasie wynikało, że los sprawił

jej zawód. Marzyła o urodzeniu córki. Sam słyszałem w późniejszym okresie, jak Mama zwracała się do mojego brata Andrzeja: „dlaczego Ty się narodziłeś, a nie dziewczynka?”. Ten zawód towarzyszył jej w późniejszym życiu.

Przyjście na świat małego braciszka, to nowe dla mnie obowiązki — kołysanie, zabawianie noworodka.

Pierwsza moja praca w gospodarstwie

Pierwsze nałożone na mnie obowiązki pamiętam doskonale. Pewnego razu Mama wyniosła mnie na łączkę w sąsiedztwie pola, na którym w tym czasie pracowała. Ponieważ był to ranek, było zimno, okręciła mi nogi w jakąś chustę i posadziła na łące. Zadaniem moim było krzyczeć, kiedy pasące się tam krowy będą przekraczały miejsce wypasu. Mama, pracując na polu, nie mogła ich obserwować, bo zarośla krzewów leśnych zastaniały jej. Zrozumiałem moje obowiązki.

Obserwowałem otoczenie, chociaż było mi zimno. W pewnej chwili zauważyłem, że na tę samą łączkę weszły inne nieznane mi zwierzęta i zbliżały się do krów, zacząłem krzyczeć do Mamy. Przyszła z myślą,

że uciekają krowy a tymczasem zobaczyła grupę saren, które wyszły na tę samą łączkę i pasty się z krowami. Wytłumaczyła mi, że są to zwierzątka, które mieszkają w lesie i nie należy się ich bać.

Łączkę nazywałem dla siebie jako zieloną łączkę. I taką nazwę Mama wniosła później do mapy terenu.

Mama zmuszona była, by wciągać mnie do pomocy, bo była sama, a prace pielęgnacyjne w polu, pielienie nie mogły czekać. Dlatego też zlecała mi kołysanie młodszego brata. W tym celu przygotowywała kołyskę z chusty zawieszonej na stojakach. W chuście niemowlę spało, ale i płakało. W takim wypadku należało dziecku włożyć do ust smoczek przygotowany z tkaniny, do której wkładało się kostkę cukru lub, jak później rozszyfrowałem, wkładany był również kawałek z zielonej główki maku. W tym przypadku dziecko dobrze spało, ale dzisiaj wiemy, co to znaczy (narkotyki).

Warunki bytowania

Wspominam, jak trudne były warunki bytowania. Nieporównywalne do obecnych czasów. Wspominam jakie

były potrawy i jakie były warunki spożywania posiłków. Jadłospis był bardzo ubogi, powtarzający się. Najczęściej był to żurek z ziemniakami. Żurek był zakwaszany, przygotowywany w glinianym garnku. Mama podawała często zupy ziemniaczane, kapustę zakwaszaną, czasem zsiadłe mleko, z którego zebrana była już śmietana, przeznaczona do wyrobu masła na sprzedaż.

Jadłospis ujmował jeszcze kaszę jaglaną uzyskiwaną w wyniku obtłuczenia prosa. A także: pierogi, makaron z mąki żytniej, jaką uzyskiwaliśmy w wyniku przemiatu ziarna we własnych żarnach. Wszystkie wymienione potrawy pochodziły z surowców uzyskiwanych we własnym gospodarstwie.

Mięsa nie było w jadłospisie. Spożywało się je tylko dwa razy w roku, w okresach świątecznych. Drób przeznaczony był na sprzedaż, a mięso z drobiu było tylko okazjonalnie. Zdarzało się, że potrawy spożywaliśmy bez soli, bo jej po prostu brakowało, a do najbliższego sklepu było siedem kilometrów.

Przy spożywaniu posiłków posługiwaliśmy się łyżkami drewnianymi, talerzami i garnkami z gliny. Ziemniaki były podawane w jednej misce

— z góry okraszane były stoniną. Kiedy sięgaliśmy po ziemniaki do wspólnej miski, to każdy polował na skwarki z przyrumienionej stoniny.

Z czasem poprawiał się stan wyposażenia kuchni. Cieszyliśmy się zakupem łyżek aluminiowych, które wywiesiła Mama na ścianie, na specjalnym wieszaku. Podobnie cieszyliśmy się, kiedy Mama zakupiła nowe talerze, w miejsce misek glinianych. W odstępach czasu Mama zmieniała naczynia kuchenne. Dużą zmianą w naczyniach kuchennych były aluminiowe garnki. Mama otrzymała ich komplet w prezencie, od przełożonego Taty.

Warunki materialne w domu

Tata pracował dalej w charakterze strażnika — hodowcy ryb²¹. Otrzymywał wynagrodzenie dwadzieścia pięć złotych miesięcznie, co równało się zakupowi dwudziestu pięciu kilogramów cukru lub dwunastu kilogramów masła albo trzech par nowych butów. Do tego otrzymywał deputat rolny — możliwość uprawy dwóch hektarów, przydział drewna opałowego na potrzeby domu oraz przydział łąki na potrzeby inwentarza.

²¹ Tarnowscy posiadali na terenie swoich dóbr prywatną straż leśną.

Mama również zarabiała na potrzeby domu. Utrzymywała pięć, sześć krów dojnych. Z udoju jednorazowego uzyskiwała dwa wiadra mleka. Mleko było przerabiane na masło, ser. Bardzo była pomocna w tym wirówka do oddzielania śmietany od mleka bezpośrednio po udoju. Co tydzień wyjeżdżała na targ do Tarnobrzegu. Miała stałych odbiorców, bo wyroby były dobrej jakości, pachniały aromatem lasu i łąk kwiecistych. Wyroby były czyste i ładnie opakowane.

Przeżywałem trudy robienia masła w każdy wtorek. Mnie, jeszcze chłopca, bolały ręce przy wyrabianiu masła ręcznie w maśniczce. Z czasem uzyskałem od Mamy zgodę, by masło, które pozostanie na górze w maśniczce, po jej opróżnieniu, było moje, że będę mógł położyć je na chleb i skonsumować. Miało to miejsce do czasu, kiedy Mama zorientowała się, że ja przetrzymuję śmietanę na górze celowo. Wówczas Mama niby pomagała mi — spuszczała śmietanę na dół i masła na górze już nie było.

Moim zadaniem w czasie wyjazdu Mamy na targ było pilnowanie wozu i koni. Targ bowiem w tym czasie odbywał się na rynku miasta. Siedziałem czasem godzinami bez picia i jadła. Mama nie zostawiała mi pieniędzy, mimo moich prośb. Czasem spełniała takie moje ży-

czenie, ale tylko wówczas, kiedy miała drobne pieniądze.

Mama nigdy nie rozmieniała banknotów i grubego bilonu. Uważała, że gdy grube rozmieni, to pieniądze rozejdą się. Pieniądze składała w domu i od czasu do czasu Rodzice kupowali kawałek ziemi w Jachdach, na wiano²² dla dzieci.

W czasie okupacji niemieckiej nie wszystkie oszczędności inwestowała. Zatrzymywała sobie bilon w srebrze. Niestety w późniejszym czasie musiała go sprzedać po wartości złomu srebra.

Włókna z lnu i konopi do wyrobu tkanin

Jako mały chłopiec interesowałem się wszystkim, co działo się w domu. Śledziłem i podpatrywałem wszystko z samej ciekawości, ale również z obowiązku pomocy Mamie, do którego byłem też przez Mamę nakłaniany. Szczególnie interesowało mnie wszystko, co składało się na proces wyrabiania nici, z których powstawała tkanina na bieliznę osobistą i pościelową.

²² W dawnym prawie kwota pieniędzy zapisywana żonie przez męża, która miała stanowić dla niej zabezpieczenie na wypadek śmierci męża. Tutaj: majątek, jaki rodzice przekazywali dzieciom przy ślubie.

Proces był długi i pracochłonny. Len i konopie pochodziły z własnej uprawy. Zbiór tych roślin miał miejsce po dojrzaniu owoców-nasion. Rośliny wiązane były w małe pęczki, które, po wysuszeniu i oddzieleniu ziaren, były układane w cienkiej warstwie na trawie i poddawane działaniu rosy, celem spowodowania obgnicia zewnętrznej otoczki włókien. Po uzyskaniu tego efektu łodygi zbierało się, wiązało w pęczki i suszyło. Pęczki wysuszonych łodyg były następnie kruszone, łamane. Proces ten nazywał się międleniem. Służyły do tego specjalne urządzenia²³. Prace tych urządzeń słyszeć było jak klekotanie bocianów. Skruszone włókna usuwane były na specjalnych szczotkach metalowych²⁴.

Tak oczyszczone włókna wiązane były w grube warkocze i stanowiły już surowiec do skręcania w nici. Skręcanie było wykonywane przy pomocy wrzecion, które wpuszczane były palcami w ruch kołowy, obrotowy. W późniejszym okresie były już używane urządzenia, które skręcały włókna przy posługiwaniu się kołem wprowadzanym w ruch nogą²⁵. Nici Mama nawijała na motowidło²⁶, które nie pozwa-

²³ Międlice i cierlice.

²⁴ Zdanie może mylić – włókna były oczyszczane na szczotkach z resztek zdrewniałych łodyg.

²⁵ Kotowrotki.

²⁶ Drążek z dwiema poprzeczkami na obu końcach, umożliwiał nawinięcie uprzedzonej nici i przygotowanie jej do dalszej obróbki.

łało na motanie się nici. W tej fazie były prane.

Tak przygotowane nici kierowane były do krosien tkackich, w których czótenko przesuwane było ręcznie.

Włókna z lnu były delikatniejsze, a tkanina z nich używana była do wyrobu bielizny osobistej i pościelowej. Znane są do dzisiaj obrusy lniane. Włókna z konopi używane były do wyrobu grubych, silnych tkanin i powrozów.

Przędzenie nici było we wioskach zbiorowe. Zbierały się sąsiadki, przędły, śpiewały. Opowiadały ploteczki. Mama jednak robiła to sama w zimowe wieczory i być może wspominała, jak to kiedyś było we wsi.

Pranie bielizny lnianej

Pranie bielizny lnianej bezpośrednio po wyrobie, jak i pranie bielizny już używanej nie było nigdy praniem ręcznym, gdyż były to tkaniny grube. Dlatego też prano je przy użyciu ługu potasowego, który uzyskiwano z popiołu, otrzymywanego ze spalania drewna.

W tym celu tkaninę wkładano do tak zwanej polewaczki. Była to beczka o pojemności około pięćdziesięciu litrów, otwarta od góry. Tkaninę układano w beczce i polewano wodą, która sprawiała, że popiół ściekał ku dołowi po tkaninie i przez wsypany wcześniej do beczki węgiel. Od dołu był otwór, przez który wypływała woda i ług potasowy. Zbierany na dole ług ponownie był wlewany na górę beczki i taki proces powtarzany był wiele razy.

Tkaniny wyjmowane z polewaczki prane były kijankami²⁷ przez uderzanie w ławach w bieżącej, przepływającej wodzie. Suszenie było długie — rozwieszano materiał w miejscach nasłonecznionych, by słońce dobrze wybieliło tkaninę. Ten proces był bardzo pracochłonny.

Środowisko przyrodnicze

Z czasem, gdy dorastałem, chciałem poznać to wszystko, co otaczało dom i najbliższą okolicę. Dom nasz był jak rodzynek w cieście. Otoczony lasem dębowym, łąkami i stawami rybnymi, z ich roślinami, planktonem i ptactwem.

²⁷ Drewniana łopatką z rękojeścią.

Najbliżej domu było gniazdo bocianie wybudowane na czubie sosny. Miałem możliwość podpatrywania, śledzenia życia bocianów. Życzliwie przyjmowałem przylot bocianów do gniazda. To stałe klekotanie, zaloty do samicy, przesiadywanie na jajach, pokazywanie się małych, zawsze pozostawianych pod opieką jednego z rodziców, by chronić przed jastrzębiem i innymi drapieżnikami...

Widziałem, jak małe chronione były przed wypadnięciem z gniazda. Jakie to było widowisko, kiedy młode podskakiwały i wykonywały próby lotów z rozłożonymi skrzydłami. Ćwiczenia te były powtarzane w miarę dorastania. Smutno było, gdy nas żegnały przed odlotem, okrężały nasz dom, by dobrze miejsce zapamiętać. Po opuszczeniu gniazd bociany zbierały się w grupy na łąkach, po około pięćdziesiąt sztuk i odlatywały na zimę.

Gdy odleciały bociany, odbywały się ciągi jesienne ptactwa wodnego²⁸. Wieczorem, tuż przed zmrokiem, ptactwo łączyło się w stada, a następnie — lotem tuż nad ziemią — ptaki przefruwały na łąki śródleśne, by znowu rano powrócić nad wodę.

²⁸ Migracje ptactwa w poszukiwaniu pokarmu.

Ptactwa wodnego było dużo. Najwięcej reprezentowane były kaczki krzyżówki i kaczki cyranki. W mniejszych ilościach reprezentowane były kury wodne, słonki i bąki, które miały charakterystyczny głos — buczenie. Dawaty o sobie znać szczególnie rano i wieczorem. Głos ptaków, szum skrzydeł, mgła, rechotanie żab to prawdziwy koncert o zachodzie słońca, do dzisiaj mam go w uszach. W ten koncert ptasi wplatały się pojedyncze głosy bocianów czarnych i białych oraz czapli, których było wiele. Podobnie było, kiedy ptaki rano, o wschodzie słońca, wracały nad wodę.

Poranki były również ciekawe. Mgła unosiła się nisko nad ziemią. W świetle słońca błyszczały krople wody na trawie i pajęczynie rozciągniętej na wysokiej trawie. Wstawałem rano, bo do moich obowiązków należało wyprowadzenie krów na łąkę. To wszystko byłoby piękne i przyjemne, gdyby nie bardzo zimna rosa. Nie miałem butów na nogach, bo nie można ich było narazić na przemoczenie. Ruszanie się boso nie było przyjemne. Podskakiwałem z zimna. Kiedyś w czasie takiego podskakiwania podskoczyłem wyżej, bo stanąłem na coś i ukułem się. Wróciłem w to miejsce i zauważyłem wystraszonego jeża, który wyszedł na ranne polowanie na myszy.

Podobnie boso wychodziłem na grzyby rano, by uprzedzić innych. Znałem tak dobrze miejsca występowania grzybów, że mógłbym nakreślić ich mapę. Lasy obfitowały w grzyby. Były takie okresy grzybobrania, że po napełnieniu koszy nie wracaliśmy do domu. Grzyby wysypywaliśmy na polu przylegającym do lasu, w nasze żyto. Później wracaliśmy po te grzyby. Zbieraliśmy tylko borowiki, inne pomijaliśmy jako niejadalne.

Po przyniesieniu grzybów do domu, wszyscy obecni zajmowali się oczyszczaniem grzybów do suszenia. Grzyby suszone były w piecu chlebowym na słomie, by nie zanieczyściły się popiołem. Susz grzybowy stanowił dochód dla domu.

Lasy otaczające naszą osadę obfitowały również w zwierzynę łowną. Dużo było saren. Jesienią, gdy grupowały się po łąkach, to spotykało się stada po około pięćdziesiąt sztuk.

Pewnego razu, przechodząc lasem w pobliżu domu, usłyszałem kwilenie. Podeszedłem bliżej, zobaczyłem małą sarenkę. Nie ustaliłem, dlaczego nie była ze swoją matką. Zabrałem ją do domu i pochwaliłem się Tacie. Tata nie był z tego zadowolony. Powiedział mi, że

sarenkę musimy odprowadzić do lasu, gdyż tam jest jej miejsce. Obejrzał bliżej sarenkę i wtedy zauważył, że jest wychudzona, słaba. Zdecydował więc, że sarenkę zatrzymałem. „Podkarmimy a potem odprowadzimy w to samo miejsce”.

Pamiętam, jak karmiłem z butelki przez palec, bo smoczków nie było. Miałem radość, jak zaprzyjaźniła się ze mną. Była bezpieczna w ogródku. Nadszedł jednak czas zwrotu jej naturze. Razem z Tatą odprowadziliśmy ją do lasu. Chwilę była przy nas. Stopniowo oddalała się i znikła w gęszczu. Było mi głupio, że tak się stało, ale wówczas nie rozumiałem, dlaczego należało ją wypuścić.

Innego razu przed wieczorem, w lesie oddalonym od domu o około dwieście metrów, spotkałem się oko w oko z borsukiem. Był to mój jedyny wypadek zobaczenia borsuka na wolności. Borsuk nie atakował, ustąpił z drogi, a był to duży okaz.

Do podobnego spotkania z rzadkim w kraju zwierzęciem doszło, kiedy wybrałem się samotnie na grzyby. Coś ściągnęło mój wzrok do góry. Na drzewie zobaczyłem dużego kota, który mi się przyglądał. Wzrok miał tak silny, przenikliwy. Szybko odwróciłem się

i pobiegiem do domu, a odległość była około trzystu metrów. Opowiedziałem Tacie, że widziałem dzikiego kota na drzewie. Tata szybko zorientował się, że to nie kot, bo koty po drzewach w lesie się nie poruszają. Uznał, że jest to ryś, rzadko występujący u nas. Szybko wziął strzelbę i poszliśmy w to miejsce, gdzie widziałem tego „kota”. Nie spotkaliśmy już go tam. Było to dla mnie jedyne spotkanie z rysiem.

Natomiast stale obserwowałem rodzinę lisią, która bytowała w norze na pobliskim pagórku. Lisy żyjące w podziemnych gniazdach mają po kilka nor wyjściowych. Udało mi się obserwować pewnego razu, jak lisica wyprowadziła młode z nory i jak one baraszkowały, bawiły się ze sobą, jak małe koty. Po zauważeniu mnie przez lisicę, ta wydała ostry pisk i młode szybko schowały się do nory.

Znałem również i obserwowałem gniazda ptaków na drzewie i w trawie, na ziemi. Zdarzyło mi się, że jak dotknąłem matych w gnieździe, to już więcej ich później nie zobaczyłem. Rodzice-ptaki ukrywali je, przenosili w inne miejsce.

Lubiłem również przyglądać się małym mieszkańcom lasów i łąk. Były

to różne małe, kolorowe chrząszcze, gąsienice, mrówki w swoich kopcach. Obserwowałem ich wędrówkę po ziemi.

Natomiast mój niepokój wzbudzały węże, których też nie brakowało. Nie pamiętam, kto nauczył mnie je chwycić, ale przez jakiś czas je łapałem. Używałem do tego patyka, który na końcu rozcinałem na połowy. Następnie je rozchylałem i wstawiałem zatyczkę, by rozwarcie nie zamykało się. Rozwarcie kierowałem na szyję węża tuż za głową, drugim patykiem wysuwałem zatyczkę i wąż zostawał ściśnięty. Węża przenosiłem w inne miejsce. Taki sport uprawiałem do czasu, kiedy nie zauważyłem, że ktoś złapał tak węża i pozostawił uwięzionego. Widziałem, jak cierpiało. Obraz ten pozostawił skazę na mojej psychice. Podobnie jak spotkanie z czaplami, o którym opowiem na następnych stronach.

Mieliśmy w domu kotka-pupilkę, a ściślej kotkę, która była dobrą matką dla swoich dzieci i zwykle małym przynosiła złapane żywe myszki. Myszki puszczała przed kotkami i uczyła je, jak myszkę złapać. Jeśli myszki próbowały uciekać, łapała je i przynosiła w to samo miejsce. Taka zabawa była mi już znana, ale któregoś razu poszła krok dalej i przyniosła żywą rybkę wielkości dłoni i położyła przed małymi.

Uciążliwością bytowania był dla nas brak dobrej wody pitnej, której nie było nawet w studni. Woda, jaką żurawiem czerpaliśmy ze studni, była koloru kawy z mlekiem, miała niemiły, bagienny zapach. Przyczyną tego były rudy²⁹ występujące w tym miejscu. Kolor wody przenosił się na wiadro, którym czerpaliśmy wodę. Najlepszym dowodem, że woda nie była zdatna do picia, były obserwowane przez nas reakcje ludzi, którzy przychodzili w okresie sianokosów po wodę. My piliśmy tę wodę. Przyzwyczailiśmy się. Nie mieliśmy innego wyboru.

Piękny plener i ciekawe środowisko przyrodnicze tego terenu stanowiły stawy rybne. Były to zbiorniki wodne o powierzchni około pięciu kilometrów kwadratowych. Znajdowały się tam również wzniesienia, na których nie było wody, były tam kępy drzew dębowych.

Na tych terenach występowały linie obronne z czasów pierwszej wojny światowej. Znajdowałem tam łuski amunicji. Świadczy to o tym, że miały tu miejsce walki³⁰.

29 Rudy darniowe, kawałki skał, które powstają na terenach bagnistych, zawierają żelazo, które psuje jakość wód podziemnych.

30 Omawiany teren był miejscem intensywnych walk frontowych w latach 1914-1915.

Powierzchnia stawów porośnięta była różnorodną roślinnością wodną, która stanowiła teren bytowania dla ptaków. Dodatkową atrakcją była łódka, którą pływałem. Pływali nią też moi goście, a wśród nich był wujek Sar³¹, który pomógł mi kiedyś dożyć do domu z Budy Stalowskiej.

Opieka zdrowotna

Zdarzały się zachorowania w domu. Opiekę zdrowotną mieliśmy bezpłatną. Zabezpieczał ją hrabia na podstawie podpisanej umowy z lekarzami. Sam jednak dostęp do lekarza utrudniony był odległością czternastu kilometrów od Tarnobrzegu.

W tym czasie Mama sięgała również po naturalne środki, po zioła. Czasem zwracała się o pomoc do znachorów z najbliższej wioski. Sam pamiętam, że korzystałem z takiej pomocy. Mama przyprowadziła do mnie babcię-znachorkę z wysuszonymi ziołami. Znachorka sparzyła te zioła w gorącej wodzie i wszystko wylała na rozżarzony węgiel drzewny. Płyn, jaki uzyskała, dała mi do wypicia. Przy tym cały

³¹ Przypis Tadeusza Jadacha, syna autora: Józef Sar był kolegą ojca z dzieciństwa, a ponieważ Józef Jadach i Józef Sar ożenili się z kobietami, które były siostrami z domu Król, więc dla dzieci ojca Józef Sar był wujkiem.

czas zachęcała mnie słowami: „pij, pij, to na zdrowie”. Nie wiem, czy to pomagało. Ale przeżyłem i dobrze się czuję.

Drugim przypadkiem zetknięcia się z udzieleniem pomocy przez tamtejszych specjalistów od zdrowia była wizyta u „dentysty” — znanego tam wyrывacza zębów. Cierpiałem na ból zęba, nie mogłem spać, z bólu nie mogłem wytrzymać: płakałem, wyłem. Tata w nocy wziął mnie za rękę i poprowadził ścieżkami polnymi do wsi, do tego specjalisty. Budziliśmy go biciem w szybkę okienną. Chętnie przystąpił do udzielenia mi pomocy. Nauczył się tej specjalności w wojsku, gdzie był felczerem³². Tam „zorganizował” sobie i przywiózł do domu kleszcze. Zdezynfekował je w ogniu. Otworzył mi opuchnięte usta i ząb szybko usunął.

Gorzej z pomocą było w okresie zimowym. Zimy wówczas były bardzo śnieżne i mroźne. Z tego okresu pamiętałem, jak strzelały, pękały drzewa. Jak strzelały gonty pokrycia dachowego. Mrozy sięgały trzydziestu stopni, a Tata codziennie musiał chodzić do pracy w Budzie Stalowskiej. Poruszanie się po drogach było w te dni uciążliwe z powodu grubej warstwy śniegu. Było tak zimno, że z powodu

³² Felczerzy zajmowali się prostymi zabiegami, szczególnie chirurgii polowej.

Ten zawód medyczny w Polsce jest już wygaszony.

mrozu, okna robiły się oszronione i nieprzejrzyste.

Pewnego razu oczekiwaliśmy na przyjście Taty z pracy. Zauważyłem, że Mama się denerwuje. Tata, wchodząc do domu, prosił Mamę, by szybko przyniosła do mieszkania śniegu na misce. Mama zaniepokoiła się, bo Tata miał sine uszy, twarz, końce palców u rąk i nóg. Otrzymaliśmy polecenie od Mamy, by każdy z nas brał śnieg z miski i nacierał miejsca sine tak długo, aż zmieni się ich kolor, aż ciało się zaczerwieni. Nacieraliśmy długo, Mama donosiła śniegu. Pamiętam, że nacierając śniegiem, czekałem na zmianę barwy ciała. Czekałem, jak na pokazanie się pierwszej gwiazdki na niebie. Zauważyłem, że Tata cierpi i niepokoi się. Udało się uratować Tatę od skutków odmrożenia ciała. Ciało było nacieranie śniegiem, by nie dopuścić do uszkodzenia naczyń krwionośnych, z powodu gwałtownego ich ogrzania.

Moje pierwsze pieniądze

Okazją do pierwszego zarobku był zbiór dębowych żółędzi z przeznaczeniem do sadzenia. Nazbierałem kilka worków. Tata wrzucił je na wóz i zawiózł do nadleśnictwa. Nie wtajemniczył mnie, że zbiór jest

odpłatny i że otrzymam zapłatę. Kiedy po pewnym czasie położył przede mną na stole pieniądze, a było ich wiele, powiedział „to twoje”. Nie mogłem uwierzyć, że są naprawdę moje. Pieniędźmi zainteresowała się Mama. Powiedziała, że kupi mi za nie buty. I tak się stało.

Następne pieniądze otrzymałem za zbiór kwiatu konwalii. Wiązałem je w duże bukiety i zawoziłem do leśniczego, nadleśniczego, kierownika folwarku, przełożonego Taty. Otrzymywałem „co łaska”, ale byłem zadowolony. Szczególnie pamiętam pouczenie, że mam pana i panią pocałować w rączkę. Starłem się o tym nie zapominać. Byłem zaskoczony, kiedy przełożony Taty odmówił kategorycznie, cofając rękę. Równocześnie otrzymałem od niego pouczenie, że mężczyźni nie całuje się w rękę.

Z perspektywy czasu myślę, że przeżyłem najmłodsze lata w pięknym środowisku naturalnym. Doznałem tyle wrażeń. Odczułem wiele tego, czego nie doznały już moje dzieci, skazane na bytowanie w środowisku miejskim. Kontakt z żywą przyrodą, z tym żywym głosem przyrody daje wiele. Sam się o tym przekonałem.

III Czesy szkoły podstawowej

Szkoła podstawowa w Jadachach

Rodzice zdecydowali, że do szkoły podstawowej będę uczęszczał w Jadachach, że będę mieszkał u wujka Michała, brata Taty. Z tym, że w pierwszym roku szkoły mieszkałem u wujka Michała, a w drugim u cioci Marysi — siostry Mamy.

Uczęszczanie do szkoły łączyło się z obcowaniem z gronem rówieśników, których dotychczas mi brakowało. Rówieśnicy ochrztili mnie „Budziak”, bo pochodziłem z Budy Stalowskiej.

Z nauką nie miałem trudności. Zostałem włączony do prowadzonego tam teatrzyku. Uczestniczyłem w widowisku, które zostało odegrane w szkole dla rodziców i uczniów. Później ta sztuka została odegrana z okazji uroczystości Trzeciego Maja, która miała miejsce w Chmielowie, a ściśle przy lasku przed Chmielowem³³, przy drodze do Jadachów. Widownia tu była większa, bo uczestniczyły dzieci z Cyganów, Chmielowa i Jadachów.

³³ Lasek, przy którym umiejscowiony jest pomnik grunwaldzki ufundowany w 1910.

Pamiętam, że rówieśnicy dokuczali mi, bo tańczyłem z dziewczynką, która grała moją żonę. Tak to wynikało z fabuły sztuki. Przyznam, że i dla mnie było to krępujące, onieśmielające, bo dotychczas nie uczestniczyłem w zabawie z dziewczynkami. Pamiętam, że ona była najładniejsza w klasie.

Zapamiętałem również inny szczegół, którego obraz utrwalił mi się w pamięci. We wsi szalała grypa. Wujek bardzo troszczył się o mnie (nie miał własnych dzieci). I gdy tylko zakaszlałem, posadził mnie na piec chlebowy³⁴, bym się rozgrzewał. W pewnej chwili zauważyłem, że wujek stał przed oknem i czemuś się przyglądał. Nagle odwrócił się do mnie i powiedział: „Popatrz, jak nie będziesz wygrzewał się na piecu, to i ciebie mogą tak wywieźć”. Popatrzyłem, zobaczyłem orszak pogrzebowy; zmarł kolega z klasy. Zamyśliłem się i wróciłem na swoje miejsce na piecu.

Wujek był komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej. Na zbiórki zakładał srebrzysty hełm, który i mi czasem zakładał na głowę. Troszczył się o mnie i umożliwiał mi różne rozrywki.

³⁴ Piece w izbach były budowane w ten sposób, że na ich górze pozostawiano wolną dużą płaską powierzchnię. Umożliwiała to leżenie i spanie na piecu, co pozwalało na wykorzystanie ciepła wydzielanego przy gotowaniu lub pieczeniu do ogrzania osoby na piecu.

Straż Pożarna organizowała festyny, w programie których były zabawy i konkursy zręcznościowe. Wujek namówił mnie, bym wziął udział w konkursie: kto pierwszy zje jedną czwartą część tortu (jeżdżąc w kierunku wnętrza), ten zdobędzie bilon pieniężny, jaki znajduje się w środku tortu. Tort został ułożony na krzyżaku. Do konkursu przystąpiłem. Zawodnicy uklękli przy torcie i na sygnał rozpoczęli jedzenie tortu, koncentrując się na środku tortu i ukrytym tam bilonie. W pewnym momencie jeden z zawodników chwycił rękami tort i uciekł z nim za opłotki. Czy był tam naprawdę bilon — nie wiem, ale tortu pojadłem.

Miał miejsce też chuligański wybryk. Uczestniczyłem w wykojeniu wózka kolejki wąskotorowej³⁵. Torowisko było tuż za ogrodzeniem domu wujka. Kolejka przywieziona została tarcica do Jadachów. Po jej odebraniu pozostał wózek na torach. Jeździliśmy nim tam i z powrotem, aż wypadł z szyn. Kolejka wracająca, w nocy uderzyła w ten wózek i nastąpiło uszkodzenie torowiska.

W drugim roku nauki w Jadachach mieszkalem u cioci. Miałem tam rówieśników, kuzynów. Stanowiliśmy niezły zespół rozrabiaków.

³⁵ Dowożono nią z rejonu Bojanowa i poligonu drzewo do tartaku w Chmielowie.

Z tego okresu zapamiętałem, jak ciocia uczyła mnie cienko obierać ziemniaki, mając na uwadze oszczędności. Była bieda, wujek Franek wyjechał za chlebem do Francji. Po kilku latach wrócił i wybudował nowy dom, który do dzisiaj istnieje, ale obecnie spełnia rolę warsztatu stolarskiego.

Ciocia naprawdę męczyła się, by mogła wykarmić czterech dorastających synów. Ja zaprzyjaźniłem się z kuzynami i podsunąłem myśl mojej Mamie, byśmy najstarszego kuzyna Józka wzięli do siebie, że będzie pomagał³⁶. Siostry w tym zakresie doszły do porozumienia. Był u nas przez dwa lata.

Szkola podstawowa w Wydrzy

Rodzice zdecydowali, że trzeci rok nauki rozpocznę w szkole we wsi Wydrza³⁷, oddalonej sześć lub siedem kilometrów, w zależności od wybranego kierunku dojścia do szkoły. Miałem już osiem lat i mogłem pokonywać taką odległość pieszo drogami i ścieżkami polnymi. Droga ta była szczególnie uciążliwa w okresie jesienno-wiosennym ze

³⁶ Była to powszechna praktyka w lasowiackich wsiach — dziecko, którego rodzice nie mogli wykarmić, brała na wychowanie rodzina lub szło na służbę do niespokrewnionych osób.

³⁷ Była to szkoła powszechna, odpowiednik dzisiejszej szkoły podstawowej.

względu na opady lub roztopy. Najgorsze jednak były zimy. Na pierwszym, trzykilometrowym odcinku drogi, czyli do najbliższej wioski Klonowe³⁸, musiałem sam wydeptywać sobie ścieżkę. Zapadałem się w wysokie, śnieżne zaspę, aż po pupę. Dostownie siedziałem w śniegu. Trudno było wyciągnąć nogę, by wykonać kolejny krok.

Miały miejsce takie dni, że przyszedłem do szkoły i dowiedziałem się, że dzisiaj nauki nie będzie, bo jest wysoki mróz. A ja z takim trudem przyszedłem i bez zatrzymywania się wracałem do domu. Znów pokonywałem trasę siedmiu kilometrów — nie było nawet gdzie wstąpić na herbatę.

W szkole wyróżniałem się w nauce. W czasie wszystkich uroczystości szkolnych powierzano mi deklamowanie wierszy.

Z tego okresu zapamiętałem zdarzenia, jakie mnie spotkały w okresie wiosennym, kiedy lody topniały na zalanych łąkach, pastwiskach. Chłopcy ustawiali się rzędem i trzymając się za ręce, nagniatali nogami lód do tego stopnia, że się uplastyczniał i wyginał. Zabawa kończyła się pęknięciem lodu, zmoczeniem nóg. W szkole suszyłem

³⁸ Był to przysiółek wsi Wydrza.

szmaty, którymi miałem okręcone nogi w butach (skarpet nie było w domu). Czasem, gdy wracałem do domu, to te szmaty w butach były mokre i buty też były mokre. Czy miało miejsce przeziębienie — nie pamiętam.

Uczestniczyłem też w takim w zdarzeniu, które na lekcji religii wywołało moją wątpliwość i opór wobec księdza katechety. Ksiądz zaczął pytać i zadał pewnej dziewczynce pytanie, bodajże ze „Starego Testamentu”. Nie odpowiedziała. To samo powtórzył kilku następnym uczniom. Nie odpowiedzieli. Uczniom tym polecił wyjście z ławek przed tablicę i uklęknienie. Uporczywie zadawał to pytanie następnym. Pod tablicą klęczało już około piętnastu uczniów (połowa klasy). Następnie zwrócił się od mnie „ty, Jadach, powiedz tym durniom”. Na pytanie odpowiedziałem. Ksiądz polecił mi podejść do tablicy i każdego ucznia miałem bić, uderzać po karku, tuż za głowę. Szaliki musiałem wcześniej ściągnąć z szyj.

Byłem tym zaskoczony, że ksiądz każe bić. Uderzyłem może trzech do pięć uczniów z dopingiem księdza: „silniej, mocniej”. Kiedy doszedłem do dziewczynki dziesiątej w kolejności, wytworzył się we mnie jakiś wewnętrzny opór i bez słowa wróciłem do ławki.

Ksiądz był zaskoczony, ale nie komentował. Ja opuściłem głowę na ławkę, przeżywałem to i pamiętam to do dzisiaj. Ten ksiądz miał niechlubną przeszłość – nie licowała z godnością księdza.

W tym czasie na każdej katedrze³⁹ leżał bambusowy kij jako narzędzie bicia, również po rękach, po palcach. Chociaż w tym czasie bicie, uderzanie kijem uczniów było normalne, dopuszczalne, to jednak robił to nauczyciel, ale zlecenie uczniowi bić swoich rówieśników?! Przecież to rodziło różne skutki. Ten, co uderzał, mógł być poza szkołą zbity.

W tej szkole ukończyłem naukę na poziomie czwartej klasy. Na tym poziomie miała się skończyć moja edukacja, gdyż na wsi zwykle tak było⁴⁰. Na tym też poziomie skończyli naukę w szkole moi bracia Władek i Andrzej. Z przykrością przyjąłem tę wiadomość od Rodziców, uważałem jednak, że to normalne. Świadectwa, jakie otrzymałem za cały okres nauki, zawierały tylko oceny bardzo dobre, z góry do dołu.

³⁹ Miejsce dla nauczyciela, na podwyższeniu.

⁴⁰ To, ile klas można było ukończyć w danej wsi, zależało od stopnia organizacyjnego szkoły, czyli m.in. od wielkości miejscowości. Siedem klas szkoły powszechnej, uzupełniające do kontynuowania nauki w gimnazjum można było ukończyć przeważnie w większych wsiach.

Skończyłem szkołę – czas na robotę

Tak zdecydowali Rodzice, uważając to również za normalne, że należy teraz rozpocząć przygotowanie do życia. Był to już rok 1936. Mijał mi dwunasty rok życia. Znałem podstawy liczenia, przydatne w pracach w domowych i to miało mi wystarczyć.

W zakresie moich obowiązków był przede wszystkim wypas krów, dalej pomoc przy wyrabianiu masła, a najtrudniejsze było pomaganie Mamie przy mieleniu w żarnach ziarna na mąkę, z której wyrabialiśmy i piekliśmy chleb. Pamiętam jak ciężko było obracać kamień. Byłem jeszcze za niski, dlatego musiałem stać na stołeczku przy obracaniu żarna⁴¹.

Były i prace łatwe, jak zbieranie kłosów pszenicy na polu folwarcznym. Kłosy te wyłamywały się podczas mechanicznego koszenia w czasie żniw. Z kłosów uzyskiwaliśmy ziarno przemielone później na mąkę w żarnach (swojej pszenicy nie mieliśmy). Mama przyrządzała z tej mąki makaron, pierogi – ach, jaki to był przysmak.

⁴¹ Autor nie był w tym odosobniony – mielenie na żarnach było powszechnym obowiązkiem dzieci.

Bratem również udział w pracach polowych, jak żyznianie sierpem zbóż⁴², wykopywanie ziemniaków, pielenie warzyw, przygotowanie paszy dla bydła, sieczki dla koni – przy użyciu sieczkarni do cięcia słomy.

Mama długo nie pozwalała kosić zbóż kosą, bo rezultat był mniej staranny. Lubiła, podobnie jak w domu, ład i porządek na polu. Kosa łamała część kłosów. Pamiętam, że Tata podjął inicjatywę koszenia kosą zbóż, wykorzystując to, że Mamy nie było w tym czasie w domu. Wyszliśmy na pole, rozpoczęliśmy koszenie, sprawdzając, jak to nam wychodzi. Tata starał się wolno poruszać kosą, by wynik był dobry, aby Mama się nie poznała. Niestety tajemnica wyszła na jaw, bo Mama zwróciła uwagę na wydajność pracy. Od tego czasu zboże było u nas koszone kosą. Sierp został odstawiony do domowego muzeum.

Upłynęły wakacje. Zaczął się miesiąc wrzesień. Nie poszedłem już do szkoły. Przykro mi było, że tracę kontakt z kolegami. Pozostało mi pasienie krów. Miałem przy tym świetne warunki do czytania książek. Zwykle kładłem się na trawie, czytałem i zerkąłem na krowy.

⁴² Ten sposób żniwowania utrzymywał się w wielu miejscowościach do drugiej wojny światowej, w pojedynczych wypadkach utrzymywał się po wojnie.

Czasem przynosił mi książki Tata, gdyż sam lubił czytać. Czasem ja je gdzieś wypożyczałem, ale o książki nie było łatwo. Do czytania wykorzystałem każdy wolny czas. Zdarzało się, że Mama mnie poszukiwała i znajdowała w jakimś cichym kącie z książką.

Zdarzyło się, że podczas czytania „W pustyni i w puszczy”⁴³, tak przeżywałem, czy uda się uratować słonia i wyciągnąć go z wąwozu, że zapomniałem o krowach. Tymczasem one zniknęły w lesie. Moje gorączkowe poszukiwania nie dały rezultatu. Pomyślałem: jakże się pokażę w domu bez krów?

Zbliżał się wieczór, odważyłem się powiedzieć w domu, że krowy zginęły. Tata, ja i ktoś jeszcze zaczęliśmy szukać i nawoływać krowy po imieniu. Nie przyniosło to rezultatu. Za kilka godzin, w nocy usłyszałem przed domem ryczenie krowy. I tak wracały pojedynczo aż do rana. Tata wcześniej uspokoił mnie, że krowy wrócą same. Było to dla mnie istotne doświadczenie.

43 — Dzieło Henryka Sienkiewicza, pierwsze wydanie 1911.

Mama proponuje mi dalszą naukę w szkole

Pewnego razu w listopadzie Mama podeszła do mnie, była przy tym bardzo poważna, jakby zatroskana i zwróciła się z zapytaniem „czy ty chciałbyś jeszcze chodzić do szkoły?”. Powiedziała, że przeglądała moje świadectwa szkolne i wzruszyły ją moje dobre oceny tak, że zrobiło się jej przykro. Zaskoczony byłem bardzo Mamą pytaniem. Odpowiedziałem „Mamo, tak, bardzo chciałbym, ale już upłynęło dwa i pół miesiąca. Jest połowa listopada”. Mama jednak zdecydowała — spróbujemy. Jutro pójdziemy do kierownika.

Mama wzięła koguta i jajka na zapis i tak stanęliśmy przed kierownikiem, który wysłuchał Mamę i odpowiedział w prostych słowach: „zastanawiałbym się, gdyby to chodziło o kogoś innego, ale Jadacha zapisuję”. Wróciliśmy do domu zadowoleni. Ku zaskoczeniu Taty, bo tego Mama nie uzgodniła z nim. Na drugi dzień poszedłem do szkoły. Mamie zawdzięczam, że tak pokierowała moim życiem.

Po wznowieniu nauki ukończyłem szkołę podstawową na poziomie szóstej klasy. W szóstej klasie było tylko sześciu uczniów, w tym był wujek Sar. Atmosfera na lekcjach była bardzo dobra, jak w domu.

Przez wszystkie lata nauki w Wydrzy otrzymywałem bardzo dobre oceny ze wszystkich przedmiotów. Kierownik szkoły zachęcał mnie do kontynuowania nauki w Tarnobrzegu i ukończenia tam siódmej klasy, kończącej szkołę podstawową. Rodzice wujka również wiązali takie plany ze swoim synem. Zdecydowano – będziemy uczyć się w Tarnobrzegu już od nowego roku szkolnego.

Siódma klasa w Tarnobrzegu

Wakacje minęły i wyjechałem do Tarnobrzegu w celu kończenia siódmej klasy koronującej podstawowe nauczanie⁴⁴. Z wujkiem razem zamieszkaliśmy na stacji – w pokoiku przygotowanym na cztery osoby. Syn pani domu pouczył nas, jak należy usiąść do stołu, jak posługiwać się łyżką, widelcem, nożem⁴⁵. Miało to miejsce przed nadejściem naszych współlokatorów, dorosłych młodzieńców, licealistów. Nasi starsi współlokatorzy przyjęli nas miło i można powiedzieć, że opiekowali się nami, życzliwie nas pouczali.

Nauka w szkole przebiegała dobrze, pilnowaliśmy nauki, bo zauwa-

⁴⁴ Chodzi o okres nauki w Państwowym Gimnazjum im. hetmana Jana Tarnowskiego.

⁴⁵ W wiejskich domach jedzono na ogół łyżką, widelec u Lasowiaków do powszechnego codziennego użycia wszedł po drugiej wojnie światowej.

żyliśmy, że w mieście, w porównaniu do wioski, nauczanie w szkole było na wyższym poziomie. Równocześnie podpatrywaliśmy życie w mieście, obyczaje, zwyczaje, obowiązujące zasady współżycia. Obserwowaliśmy zachowanie innych w szkole, na ulicy. Wyszliśmy obaj z małej wioski. Musieliśmy wiele obserwować, naśladować, uczyć się, byśmy wiele nie odróżniali się od otoczenia, w którym przebywaliśmy.

Dyrektor szkoły był ten sam, co uczył mnie w Jadachach, stąd znał już moich Rodziców. Świadectwo ukończenia nauki otrzymałem z wynikiem bardzo dobrym za wyjątkiem śpiewu i ćwiczeń cielesnych, z zakresu których otrzymałem ocenę dobrą.

Dyrektor szkoły zachęcał moich Rodziców do skierowania mnie do gimnazjum w Tarnobrzegu, ale radził bym przygotować się do egzaminu, szczególnie z języka polskiego i matematyki. Wskazał korepetytora, nauczyciela ze szkoły. Gdy Rodzice przystali na ten pomysł – korepetytor przygotowywał do egzaminu swoich dwóch synów oraz wujka Sara i mnie.

Gimnazjum cieszyło się dobrą opinią, utrzymywało dobry poziom

nauczania, dyscyplinę w zachowywaniu się uczniów w szkole, na ulicy czy w kinie. Nauczyciele pełnili dyżur w mieście – spacerowali i przyglądali się młodzieży. Na nabożeństwo niedzielne młodzież zbierała się w gimnazjum. Katecheta wyrywkowo sprawdzał obecność. Następnie była lekcja religii i razem, w szyku dwójkowym, uczniowie szli do kościoła.

Wracając do egzaminu wstępnego, postrachem egzaminu dla wszystkich była nauczycielka języka polskiego. Nasi współlokatorzy przygotowali nas, powiedzieli jaką taktykę przyjąć podczas egzaminu, a szczególnie egzaminu pisemnego. Otrzymałem wskazówki, które do dzisiaj stosuję. Pisząc pracę, unikać zdań złożonych, bo nawet przecinek można w nieodpowiednim miejscu postawić; a więc zdania proste. Unikać wyrazów, w których można popełnić błąd ortograficzny – wyraz ten można zastąpić innym, o podobnym znaczeniu.

Z czwórki przygotowujących się razem, egzamin zdałem tylko ja. Nie zdali dwaj synowie korepetytora i wujek Sar.

Oczekiwałem na przyjazd mojej Mamy po mnie. Od Stalów już jechała ze świadomością, że egzamin zdałem, bo spotkała się z mamą wujka,

która z płaczem powiedziała: „wasz zdał, a nasz jednak nie”. Płakała, przeżywała to, jak każda matka. Mama, gdy przyjechała po mnie, skierowała się najpierw do żony naszego korepetytora z podziękowaniem za tak dobre przygotowanie mnie do egzaminu. Żona jednak zlekceważyła podziękowanie i odpowiedziała słowami: „pchacie się do tego miasta, że już niedługo nie będzie miał kto pasać świń na wsi”.

Polowanie na czaple

W okresie wakacji Mama podsunęła mi myśl, czy nie spróbowałbym zapolować na czaple, które występowały tu w znacznych ilościach. Żywiły się karpiami, stąd wyrządzały duże straty w hodowli. Tata polował już od dłuższego czasu. Po zastrzeleniu czapli, odcinało się górną część dziobu jako dowód, że ptak został ubity i można wypłacić wynagrodzenie za „strzałowe”. Hrabia wypłacał dwa i pół złotego za sztukę⁴⁶.

Mama poszukiwała pieniędzy, gdzie tylko były dostępne do zdobycia. Propozycję Mamę dla próby przyjąłem i bez zwłoki wyszedłem

⁴⁶ Była to suma niemała – dniówka za pracę przy żniwach wynosiła wtedy około jednego złotego.

późnym popołudniem z domu, z dwururką kalibru 12⁴⁷. Mama dała mi jeden nabój śrutowy.

Zauważyłem stadko około dwóch kilometrów od domu. Żerowało w miejscu trudno dostępnym do strzału. Podchodziłem na brzuchu, czotgając się, skryty za niską groblą. Kiedy zbliżyłem się do pozycji strzału, strzelbę załadowałem i zacząłem analizować, którą czapłę będzie najłatwiej trafić. Pomyślałem, by tak ustawić się do strzału, by trafić dwie czaple. Jedna może być bliżej mnie, druga dalej, ale obie w tym samym polu rażenia. Strzeliłem i faktycznie dwie czaple nie odleciały. Dumny jak paw, wróciłem do domu. Mama, podniesionym głosem, zwróciła się do Taty: „a widzisz, tobie nie chce się chodzić na czaple, a syn poszedł pierwszy raz i jednym nabojem ustrzelił dwie czaple”.

Tak potoczyło się dalej. Strzelałem z Tatą trzy lata. W jednym roku, w ciągu sezonu zastrzeliłem sto dwadzieścia dwie czaple. Miałem najlepsze wyniki ilościowe w porównaniu do kolegów Taty, ale Tata to wszystko firmował.

⁴⁷ Typowa strzelba myśliwska, typ broni popularny na polowaniach do dzisiaj.

Miałem i przykre wypadki. Pewnego razu wybrałem się w niedzielę na czaple, bez przekonania, że je spotkam, bo było już późno, około południa, a czaple żerują rankiem i wieczorem. Zobaczyłem jedną sztukę, ale w środku stawu, więc musiałem podchodzić wodą. Zdecydowałem się, rozebrałem się do spodenek i zacząłem podchodzić do strzału. Nie miałem doświadczenia w strzelaniu w takich warunkach, tuż nad powierzchnią wody. Strzeliłem. Odbicie głosu od tafli wody było tak silne, że niemal ogłuchłem. Przez chwilę nie mogłem się pozbierać. Okazało się, że czaplę tylko postrzeliłem. Poderwała się do lotu i co pół kilometra siadała na wodzie. Nie dałem za wygraną i tak przeszedłem odcinkami około trzy kilometry.

W międzyczasie, kiedy Tata usłyszał ten wyjątkowo głośny strzał, zaczął mnie szukać. Przyszedł w to miejsce, gdzie słyszał strzał, na wale znalazł ubranie, a syna nie było. Po pewnym czasie wróciłem z czaplą do domu.

Polowanie na czaple do dzisiaj uważam za pomyłkę. Byłem za młody i obrazy rannych ptaków, walczących o życie, pozostawiły na mojej psychice ranę. Nigdy więcej nie strzelałem do zwierząt, choć miałem okazję.

Tata miał ten brzydki zwyczaj, że pozostawiał na wierzchu strzelbę bez jej rozładowania. Miało to miejsce do czasu, kiedy mój brat Władek nie wiedział, że strzelba jest załadowana i bawił się w strzelanie z młodszym bratem. Władek całe szczęście skierował strzelbę pod stół w mieszkaniu. Na podłodze został ślad uszkodzenia posadzki, aż do ściany. Dobrze, że tak tylko się to skończyło, bo mógł przecież zrobić krzywdę swojemu bratu.

Mamy radio na słuchawki

Szef Taty zaproponował założenie nam radia na słuchawki. Oczywiście przyjęliśmy to z zadowoleniem. Tata przygotował dwa maszty do założenia anteny. Jakże to było dla nas przeżycie! Towarzyszyłem przygotowaniom, czekałem z niecierpliwością na usłyszenie głosu. Zastanawiałem się, jak ten głos może lecieć. Przypominam sobie, jakie to było wrażenie, kiedy założyłem słuchawki i usłyszałem głos. Pamiętam, jak przełożony Taty powiedział: „to jeszcze nic. W Ameryce widzi się ludzi, którzy mówią do nas”.

IV – Okres szkoły średniej

Gimnazjum w Tarnobrzegu

Po wakacjach wujek Sar rozpoczął naukę w Szkole Metalowej⁴⁸ w Kamionce Strumiłowej⁴⁹ (na północny wschód od Lwowa), a ja w miejscowym gimnazjum, które cieszyło się dobrą opinią w nauczaniu i wychowaniu młodzieży. Nosiło się tam granatowe mundurki według ustalonego wzoru, tarczę na rękawie z herbem miasta, czapkę okrągłą z niebieskimi wypustkami (w gimnazjum) lub czerwonymi (w liceum).

Chodzenie w mundurkach szkolnych obowiązywało także poza szkołą. Kiedy przechodziłem przez wioski, to słyszałem za moimi plecami: „panoczek⁵⁰, nie chce mu się robić”. Przykre to było, ale w mundurku dobrze się czułem, a przechodnie zwracali na mnie uwagę. Zauważyłem, że Mama lubiła ze mną chodzić, bo zazdrościły jej sąsiadki, że ma takiego syna⁵¹.

48 Państwowa Szkoła Rzemieślnicza w Kamionce Strumiłowej.

49 Obecnie Kamionka Bużańska, miasto na Ukrainie.

50 Ironicznie nazywano autora panem (szlachcicem), a więc przedstawicielem wyższej warstwy społecznej. Było to częste na wsi – chęć awansu społecznego była uznawana za brak solidarności z ludźmi własnego stanu i dowód zarozumiałości.

51 Kontynuowanie nauki w gimnazjum było u wiejskich dzieci rzadkością – powodem była przede wszystkim bariera finansowa.

Zamieszkałem już w innym miejscu, w pobliżu zamku⁵². Mieszkaliśmy w trójkę, do tego gospodarze mieli dwóch synów, moich rówieśników. Wszyscy rozpoczęliśmy naukę w szkole. W nauce nie miałem trudności, utrzymywałem się w czołówce. W pierwszej klasie wybrany zostałem nawet wójtem⁵³.

Na wywiadówkę chodził zawsze gospodarz mieszkania, w którym mieszkalem (urzędnik magistratu). Gdy zapytałem po jego powrocie z wywiadówki, jakie mieli do mnie uwagi nauczyciele – odpowiedział, że nie chcieli z nim rozmawiać, tylko odpowiedzieli krótko: „aaa, ładach, dobry w nauce i zachowaniu”.

Wisła

Miasto Tarnobrzeg (dawna nazwa Dzików⁵⁴) związane jest z rzeką Wisłą. W tamtym czasie, gdy uczyłem się w Tarnobrzegu, kursowały jeszcze po rzece statki parowe z Krakowa do Sandomierza i pływały

⁵² Popularna wśród miejscowych nazwa na Pałac Tarnowskich w Dzikowie (obecnie w obrębie Tarnobrzegu).

⁵³ Odpowiednik dzisiejszego przewodniczącego klasy. Określenie typowe dla szkół wiejskich; zastępcę przewodniczącego nazywano sołtysem.

⁵⁴ Dzików, dzisiaj dzielnica Tarnobrzega. W międzywojniu Tarnobrzeg i Dzików stanowiły osobne miejscowości. Dzików jednak był w tym okresie miejscowością znacznie większej rangi. Miasto Tarnobrzeg założone na prawie magdeburskim było de facto przysiółkiem magnackiej siedziby Tarnowskich – Dzikowa.

według stałego rozkładu. Na brzegu były przystanki i mieszkańcy korzystali z tej żeglugi, jako stałego środka transportu.

Rzeka była ważna dla lokalnej społeczności również na innym poziomie. Nad rzekę, w pewne święta, przychodzili Żydzi (stanowili około połowy mieszkańców Tarnobrzegu) w strojach modlitewnych – były to modlitwy nad wodą⁵⁵.

Wisła przyciągała do siebie ludzi i nie było roku, by woda nie zabrała kilku osób, szczególnie z młodzieży. Kiedy byłem w gimnazjum, to uczestniczyłem z Mamą w pogrzebie syna sąsiadów z Klonowego, który w drugim roku nauki w gimnazjum utopił się. Wspomnienie jego pogrzebu ostrzegało mnie, by i mnie to nie spotkało. Zapamiętałem, jaka była rozpacz jego rodziców.

Mimo tego kąpałem się w Wiśle, pamiętając o bezpieczeństwie. Wydawało mi się, że jeżeli kąpiel jest ostrożna, to niby jak można się utopić? Co prawda słyszałem o wirach wodnych, wciągających człowieka do wody. Wisła posiadała (podobnie jak inne rzeki) tak zwane łachy – rozlewiska wody między kępami wikliny. W te miejsca

⁵⁵ Chodzi prawdopodobnie o zwyczaj związany ze świętem Rosz-ha Szana, gdy początkowi roku towarzyszyło symboliczne oczyszczenie się z grzechów.

woda wlewa się pod naciskiem wody z koryta głównego i, ocierając się o brzegi tego rozlewiska, powoduje zawirowania.

Jak niebezpieczne są te zawirowania, przekonałem się sam. Kąpałem się i w pewnym momencie woda zaczęła mnie zabierać w jednym kierunku, a moje nogi coś ścigało ku dołowi. Opatrzność Boża zrzędziła, że z miejsca zacząłem się bronić, intensywnie zacząłem pracować rękami i oddaliłem się od tego miejsca, wyszedłem na brzeg i zacząłem się zastanawiać, co się stało. Ano wiry, o których słyszałem. Była to moja ostatnia kąpiel w Wiśle.

Harcerstwo

W okresie gimnazjum zapisałem się do harcerstwa i wiele z tego tytułu skorzystałem. Harcerze w tym okresie cieszyli się dobrą opinią. Prawo harcerskie było przestrzegane. Przynależność do harcerstwa była swego rodzaju legitymacją młodego człowieka. Uważano, że harcerzowi można zaufać w każdych okolicznościach.

Harcerstwo dobrze wychowywało młodzież w duchu patriotyzmu, czego dowodem był udział harcerzy w walce o niepodległość w okresie

okupacji. W okresie przedwojennym było już odczuwane zagrożenie naszych granic. Program szkolenia i ćwiczenia były już ukierunkowane na możliwość walki z przyszłym okupantem.

Dużo wspomnień pozostało mi z tego okresu po ćwiczeniach terenowych, podchodach, śledzeniu ruchu innej drużyny, studiowaniu topografii terenu. Posługiwałem się pseudonimem "Jeleń".

Szczególnie zapamiętałem jedno z ćwiczeń nocnych. O godzinie dwudziestej czwartej przyszedł do mnie harcerz z mojej drużyny, powiadomił o zarządzonym alarmie i miejscu zbiórki zastępu. Był nim niewykończony dom mieszkalny przy lesie, nad Wisłą. Dom, który miał wymurowane piwnice, a dalsza budowa została zatrzymana już kilka lat wcześniej.

Zastępowy określił zadanie. Polegało ono na przyniesieniu z piwnicy tego domu, klucza, który on zrzuci z góry przez przewód wentylacyjny. Należało dobrze zauważyć na górze, w którym miejscu znajduje się otwór. Wejście do ciemnej, nieznanej piwnicy wzbudzało strach. Nie wiadomo, na co można tam natrafić. Ale harcerz nie może odmówić wykonania zadania. Wszedłem wymurowanymi schodkami, dotyka-

tem ścian, odmierzałem odległości, by zlokalizować otwór. Następnie rękami wyszukałem klucz. Udało się, ale ile przeżyłem, to do dziś pamiętam.

V Okres okupacji niemieckiej

Wojna – rok 1939

Wróciłem na wakacje do domu, pomagałem Rodzicom w pracy na polu. Odczuwało się jednak atmosferę zbliżającej się wojny. Tata otrzymał nakaz mobilizacyjny odstawienia do Nowej Dęby⁵⁶ konia z wozem.

Przeżyliśmy rozstanie z koniem, mimo że mieliśmy zapewnienie, że koń zostanie nam zwrócony po zakończeniu wojny.

W dniu pierwszego września piękna, słoneczna pogoda. Zajmujemy się czymś na podwórku, kiedy, nagle słyszymy kilka lecących samolotów. Cieszymy się, że polskie samoloty lecą na Niemców. Za chwilę słyszymy wybuchy bomb i kłęby dymu – jesteśmy zaskoczeni. Pali się wieś Chmielów. Zaskoczenie – pierwszy dzień wojny, więc dlaczego bombardują Chmielów⁵⁷, przecież nie ma tam żadnych obiektów

⁵⁶ Ówczesnie Dęba.

⁵⁷ Bombardowanie Chmielowa miało miejsce w drugim dniu wojny, tj. drugiego września 1939. Celem napadu powietrznego Luftwaffe była miejscowa stacja kolejowa. W bombardowaniu zginęło pięćdziesięciu dwóch mieszkańców wsi. Bombardowania dokonał Kampfgeschwader 76.

strategicznych. Już jest wiele ofiar w ludziach, spalone domy. Wieś ewakuuje się, bo w następnych dniach o tej samej, popołudniowej porze nadlatywał jeden samolot i niszczył jeszcze, co pozostało.

Bombardowanie Chmielowa było utrzymywane przez tydzień⁵⁸. Zastanawiano się, dlaczego nie było bombardowania obiektów przemysłowych, będących własnością hrabiego, jak młyn, tartak, cegielnia. Te obiekty przetrwały wojnę. Odpowiedzi nie znaleziono⁵⁹.

W trzecim dniu wojny bombardowany był Tarnobrzeg.⁶⁰ Po tygodniu rozpoczęły się walki w obronie miasta. Niemcy chcieli wejść do miasta od strony Wisły, Osieka, po wybudowaniu mostu⁶¹. Polacy przez trzy dni uniemożliwiali wybudowanie tego mostu⁶². W walkach obronnych brał udział porucznik Sarna⁶³, który prowadził w gim-

58 Aktywność niemieckiego lotnictwa w rejonie Chmielowa była obecna przez kolejne dni września, ale bomby na Chmielów spadały incydentalnie.

59 Bombardowanie Chmielowa drugiego września miało na celu zniszczenie infrastruktury kolejowej, co wpisywało się w cele strategiczne doktryny nowoczesnej wojny manewrowej, określanej przez Niemców jako Blitzkrieg.

60 Na Tarnobrzeg spadły bomby również w dniu drugiego września 1939.

61 Chodzi o niemiecką przeprawę mostową budowaną od trzynastego września i ukończoną w dniu czternastego września 1939 na wysokości Tarnobrzegu. Stanowiła ona miejsce przeprawy VII Korpusu Armijnego, znajdującego się w składzie 14. Armii.

62 Taki przekaz funkcjonuje w wymiarze lokalnym. Faktycznie działania strony polskiej nie stanowiły żadnego zagrożenia dla Niemców. Opóźnienie w budowie przeprawy wynikało z faktu, że Niemcy nie byli w stanie zestawić poszczególnych elementów przeprawy. Nie przewidziano tego przed inwazją na Polskę.

63 Józef Sarna (1910-1939) – podporucznik rezerwy piechoty Wojska Polskiego,

nazjum przysposobienie wojskowe, który pierwszy uczył nas jak posługiwać się bronią. Zginął w wyniku ostrzału z samolotu. Pocisk rozerwał mu hełm na głowie. Hełm ten znajduje się na krzyżu przy jego grobie, na małym cmentarzu wojskowym przy szpitalu w Tarnobrzegu. Porucznik Sarna był uznany za bohatera.

Równocześnie, już w trzecim dniu wojny, dotarli do nas uciekinierzy ze Śląska⁶⁴. Wszyscy, którzy brali udział w walkach o wyzwolenie Śląska⁶⁵, musieli teraz uciekać przed Niemcami. Uciekali pieszo, nieśli dobytek swojego mieszkania na plecach, w walizkach. Niektórzy byli samotni, byli też całe rodziny. Pociągi były przez Niemców stale bombardowane, dlatego szli pieszo, lasami i drogami bocznymi, niekontrolowanymi. Kierowali się za San, gdyż tam miała być pierwsza linia obronna. Tam już koncentrowały się rozbite jednostki wojskowe.

Po wejściu Niemców nastąpiły pierwsze oznaki okupacji i przemocy wobec Polaków. Rozstrzeliwanie zakładników. Pierwszy

dowódca obrony przeprawy przez Wisłę w okolicach Tarnobrzegu podczas kampanii wrześniowej. Nie został zabity od bomby lotniczej. Zginął trzynastego września 1939, broniąc Skalnej Góry, tj. odcinka skarpy wiślanej.

64 Fala cywilnych uciekinierów pojawiła się w rejonie Tarnobrzegu w pierwszym tygodniu.

65 Chodzi o powstańców śląskich z okresu powstań śląskich lat 1919-1921.

wypadek rozstrzelania młodego człowieka miał miejsce w Tarnobrzegu⁶⁶ bezpośrednio po ich wkroczeniu.

Zaczęli ludzie wykradać towary ze sklepów żydowskich. Został chwycony chłopak ze Stalów i bezpośrednio, publicznie rozstrzelany z zawieszoną tabliczką „ukradłem kapelusz”⁶⁷. To zrobiło bardzo duże wrażenie na miejscowej ludności. Takie przypadki były dotychczas u nas nieznane.

Niemcy rozpoczęli akcje likwidacyjne Żydów⁶⁸. Żydów wzywali do stawienia się w wyznaczonym miejscu, z którego wywozili ich do obozów. Tych, którzy nie stawili się, rozstrzelali bez uprzedzenia. Były wypadki, że rzucali dziecku żydowskiemu piłkę do zabawy, dziecko biegło za piłką, a oni strzelali.

⁶⁶ Powszechnie stosowaną praktyką armii niemieckiej było wyznaczenie zakładników spośród miejscowej ludności, którzy swoim życiem mieli gwarantować, że nie dojdzie do żadnych incydentów na terenie okupowanym przez Niemców. W Tarnobrzegu faktycznie wyznaczono zakładników, jednak do żadnej zbrodni nie doszło.

⁶⁷ Do opisywanego zdarzenia doszło w grudniu 1939 r. Rozstrzelano wówczas dwóch Polaków pod murem klasztoru oo. Dominikanów. W zbiorach Archiwum IPN zachowały się fotografie wykonane w dniu w którym doszło do opisywanej zbrodni.

⁶⁸ Autor ma najpewniej na myśli wysiedlenie Żydów z Tarnobrzegu w dniu 2 października 1939. Z racji tego, że pierwotnie linia demarkacyjna z Sowietami miała opierać się o linię rzeki Wisła, San i Narew Niemcy rozpoczęli wysiedlenia ludności żydowskiej, którą przymuszano do przejścia na teren znajdujący się po wschodniej stronie brzegu tych rzek. Wysiedlenia Żydów były podyktowane tym, że w optyce Niemców stanowili oni wrogi element.

W poszczególnych wioskach mieszkali Żydzi, trudniący się handlem, skupem od rolników jaj, bydła. Tych wyprowadzali z domów i w niewielkiej odległości od nich rozstrzeliwali.

Rozpoczęły się wywozy młodzieży na roboty do Niemiec, często zabierano ludzi prosto z ulicy. W pierwszej kolejności zabierani byli ci, którzy nie mieli karty pracy.

Miałem szesnaście lat. Tata obawiał się o mnie i dlatego załatwił mi pracę w gospodarstwie rybnym w Budzie Stalowskiej. Praca i zatrudnienie na miejscu chroniły przed wywozem do Niemiec⁶⁹.

Pracowałem jako robotnik przy jesiennym odłowie ryb. Ubrany byłem w wysokie gumowe buty rybackie. Wybierałem siecią ryby z wody i przenosiłem do skrzynek, do transportu. Jesień, brzydka pogoda, tyle godzin nogi w gumie, w zimnej wodzie — nie było to łatwe dla jeszcze chłopca.

Utkwił mi w pamięci szczegół łączący się bezpośrednio z wykony-

⁶⁹ Ludność polską na terenie utworzonego przez Niemców Generalnego Gubernatorstwa obowiązywał obowiązek pracy. Zdobyć zatrudnienia na miejscu chroniło przed deportacją na roboty przymusowe do Rzeszy Niemieckiej.

waną pracą. Nie miałem doświadczenia i zamiast nogi przemieszczać często, by nie zassały się w tym stawowym błocie, to stałem w jednym miejscu. Doszło do tego, że nie mogłem już zrobić kroku i przemieścić nogi. W końcu musiałem nogę wyrwać z buta. But pozostał w mule.

Po zakończeniu odłowów Tata skierował mnie do pracy przy ścinaniu drzew, a był to okres zimowy. Pracowałem w zespole. Do mnie należało zbieranie i cięcie gałęzi oraz układanie w stosy.

Wiosną 1940 roku Tata skierował mnie do młócenia zboża cepami w naszej stodole w Jadachach. Młóciliśmy we trójkę. Trudna to była lekcja z zawodowcami, bo nie tylko trzeba było wysiłku, ale i umiejętności uderzania cepami. Należało utrzymać takt trójkowy. Było to coś takiego: „tak — tak — — — tak” stale powtarzane. Przy tym należało tak uderzać cepami w zboże, by nie nastąpiło zderzenie cepów w górze lub na samym zbożu.

W okresie koszenia traw również kosiłem w trójkę z zawodowcami. Miało to miejsce na łące, w pobliżu Bukiego, tuż za szosą. W koszeniu kosą miałem większą praktykę i doświadczenie. Kosiłem bowiem trawę

i zboże już wcześniej, dlatego też utrzymywałem tempo koszenia zawodowców, chociaż chyba mieli zamiar dać „panockowi” szkołę. Koszenie trwało cały dzień, a była to łąka o powierzchni jednego hektara. O czasie trzeba było dobrze ostrzyć kosę osetką zamoczoną w wodzie, w kubku drewnianym zawieszonym u pasa (nazwy kubka nie pamiętam⁷⁰). W środku dnia, w czasie odpoczynku należało klepać kosę młotkiem na babce, czyli kawałku metalu, w celu uzyskania cienkiej blachy do zaostrenia. To też należało opanować, by nie spowodować pęknięć blachy i jej kruszenia.

Zachorowałem — zapalenie płuc, czerwotka

We wrześniu tego samego roku zachorowałem na obustronne zapalenie płuc. Przyczyną było przebywanie w przeciągu, gdy byłem spocony po wykonywanej akordowo pracy. A wszystko przez to, że się zbyt szybko spieszyłem, bo umówiłem się z Mamą, że jeśli szybko wykonam powierzoną pracę, to będę miał czas wolny na czytanie książki.

Choroba trwała trzy tygodnie. Antybiotyki jeszcze nie były dostępne

⁷⁰ Była to kuszka na osetkę.

w tym czasie. Pewnego dnia Rodzice zauważyli u mnie duży wzrost temperatury i majaczenie. Tata na drugi dzień spowodował przyjazd naszego lekarza z Tarnobrzegu. Dostałem jakiś jeden zastrzyk na cały czas choroby. Organizm sam musiał zwalczyć infekcję.

Wraciałem już do zdrowia, ale organizm osłabiony przebytą chorobą, poddał się łatwo następnej groźnej chorobie zakaźnej, jaka w tym czasie występowała i kościła ludzi. Czerwonka krwista, która mnie zaatakowała, spowodowała owrzodzenie przewodu pokarmowego. Wrzody pękały, otwierały się naczynia krwionośne i stale wydalałem krew. Nie wolno było nic jeść. Picie było możliwe w ograniczonych, koniecznych ilościach. Kto tego nie wytrzymał, to żegnał się z życiem. Niepokoiły mnie wiadomości o śmierci znajomych. Do pewnego stopnia jako środek odkażający stosowano alkohol. Natomiast płyn do picia przygotowywany był przez zalewanie wodą węgla drzewnego.

Spadałem z wagi, zniknęły mięśnie, na twarzy opadły policzki. Na krześle nie mogłem siedzieć, bo opierałem się bezpośrednio o kręgosłup. Przecież wcześniej pracowałem fizycznie i byłem umięśniony. Chorobie towarzyszyło duże łaknienie, apetyt wzrastał, ale nie wolno było jeść. Kiedy pewnego razu nie było Rodziców w domu — sięgnąłem po trzy

tyżki kaszy. Skutek był natychmiastowy. Nastąpiło nasilenie choroby, krwawienie. Wpadłem w taki stan psychiczny, że prosiłem Boga, by mnie już zabrał. Nie wpuściłem do siebie koleżanek i kolegów, którzy w grupie przyszli mnie odwiedzić z odległości czternastu kilometrów. Wyglądałem jak kościotrup, jednak rygorystycznie przestrzegałem diety. Pomału wracałem do zdrowia. Marzyłem, by mi jeszcze w życiu dane było wypić szklankę piwa i zjeść kanapkę z wędliną.

Rodzice podali mi szklankę optukaną piwem, bym mógł wąchać zapach piwa. Stopniowo choroba ustępowała, ale organizm był osłabiony i przyczepiały się dalsze choroby. W krótkim odstępie czasu miałem dwa razy zapalenie opłucnej z wysiękiem wodnym. Powoli organizm dał sobie radę z wodą. Do dzisiaj każdy rentgen płuc wykazuje szramę, jaka powstała po osuszeniu wody.

Koszmar choroby stopniowo się oddalał — wracałem do zdrowia, nabierałem siły fizycznej i psychicznej, która już pozwalała mi na zainteresowanie się innymi zajęciami. Uczyłem córkę kolegi Taty z zakresu szkoły podstawowej. Za to jej ojciec powiedział, bym przygotował sobie ul, to da mi różkę pszczelą. Zainteresowało mnie to. Wujek Sar powiedział, że namówi swojego ojca, by wykonał dla mnie

taki ul. Tak się stało. Ul zapszczeliłem i otoczyłem opieką. Pewnego razu zauważyłem, że z ula wypływa miód na ziemię. Takie to były tereny miododajne. Od tego czasu tyknąłem bakcyła i zostałem pszczelarzem.

Tajne nauczanie

Wujek Sar, z którym utrzymywałem żywy kontakt, poinformował mnie, że na terenie Grębowa jest organizowane tajne nauczanie z zakresu gimnazjum. Zapytał, czy mnie to interesuje. Ucieszyłem się bardzo taką wiadomością. Prosiłem, by mnie zgłosił, bo sam nie mogłem tego uczynić ze względu na konspirację. Musiał ktoś za mnie ręczyć. Szybko to załatwił. Byłem mu za to wdzięczny, bo gdybym nie dowiedział o tajnej szkole, to moje losy mogłyby inaczej się ułożyć. Razem uczestniczyliśmy w nauczaniu.

Kierownik nauczania zażyczył sobie, by Wujek przyprowadził mnie do rodziców kierownika. Przypuszczam, że był zainteresowany lepszym poznaniem ucznia i wyrobieniem sobie opinii. Wujek zaprowadził mnie do bardzo starej, niskiej chaty, w której mieszkali rodzice kierownika. Chata była podobna do tej chaty w Jadachach, w której się urodziłem.

Kierownik nauczania był absolwentem seminarium duchownego w Sandomierzu. Oddział tajnego nauczania⁷¹ w Grębowie podlegał administracyjnie kierownictwu w Sandomierzu. Tak rozpoczęłam przerabianie programu nauczania z zakresu trzeciej i czwartej klasy gimnazjum.

Egzaminy okresowe składałam u nauczycieli w Sandomierzu. Opłatą za egzamin były produkty żywnościowe (na przykład słonina). Przy podchodzeniu do egzaminatora, obowiązywały zasady konspiracji. Należało przed wejściem do domu obserwować, czy teren jest spokojny, czy nie kręcą się podejrzani ludzie. Następnie należało powołać się na osobę, która skierowała w to miejsce. Egzaminator zwykle zadawał jeszcze pytania sprawdzające.

Nie wszystko można było przewidzieć. Czasem sytuacje zaskakiwały. Pewnego razu wybrałam się do miejscowości Trześń koło Sandomierza, do profesora Walczyny (po wojnie m.in był dyrektorem gimnazjum w Tarnobrzegu⁷²) na egzamin z języka polskiego. Byłam tam już wcześniej i znałam szczegółowo lokalizację. Po wale ochronnym

⁷¹ Była to forma edukacji prowadzona potajemnie w Polsce w okresach zaborów i okupacji, zwłaszcza w czasie II wojny światowej.

⁷² Stanisław Walczyna, był zaangażowany w tajne nauczanie i inną działalność konspiracyjną.

rzeki Trześniówki jechałem rażno rowem. Profesor mieszkał przy wale.

W pewnej chwili zauważyłem, że w pobliżu domu idzie w moim kierunku młody mężczyzna w długim płaszczu. Zachowywał się podejrzanie. Był w pobliżu domu, do którego ja zmierzałem. Zastanowiłem się chwilę, co robić, ale szybko uświadomiłem sobie, że każdy ruch z mojej strony wykazujący strach, będzie mnie obciążał. Wjechałem rowerem na podwórko domu, jakieś pięćdziesiąt metrów za jego plecami.

Jak później analizowałem – popełniłem błąd. Należało pojechać dalej i z ukrycia obserwować sytuację.

W domu zastałem jakąś nienormalną sytuację, zaskoczenie i zdziwienie. Dowiedziałem się, że profesor został poprzedniego dnia aresztowany. Pytali mnie, czy ten spacerujący wałem zwracał na mnie uwagę, bo z pewnością jest konfidentem. Prosili mnie, bym szybko opuścił dom. Wyprowadzili mnie przez podwórko za stodołę, a następnie wskazali, bym kierował się pastwiskiem do Wisty.

Teren był mokry po ostatnich opadach, a koła roweru zaklejały się gliną lessową w takim stopniu, że nie dało się prowadzić roweru. Rzuciłem rower do każdego spotykanego bajora, by spłukać glinę. Doszedłem do zarośli wiklinowych nad Wisłą, zatrzymałem się tu prawie godzinę, nie zauważyłem niczego niepokojącego i przyjąłem kierunek do domu.

Wyniki egzaminów zatwierdzane były po wojnie przez kuratorium w Rzeszowie, podpisywane przez sześciu nauczycieli. Świadectwo z datą dziewiątego stycznia 1945 dokumentowało następujące oceny z przedmiotów: matematyka, geografia, język niemiecki, język polski, religia – otrzymałem oceny bardzo dobre, natomiast oceny dobre uzyskałem z języka łacińskiego, historii, fizyki z chemią. Świadectwo upoważniało do rozpoczęcia nauki w liceum.

Do świadectwa dołączona była opinia kierownika tajnego nauczania o treści: „zaświadczam, że Józef Jadach był uczniem tajnego nauczania w Grębowie podczas okupacji niemieckiej i, mimo ogromnych trudów na tej drodze, należał do najlepszych uczniów, a jako Polak jest godny pochwały i uznania, pod każdym względem godny polecenia”. I podpis:

Jan Baran⁷³, organizator i kierownik tajnego nauczania w Grębowie, powiat Tarnobrzeg, data 10 I 1945.

Aresztowania wiosną 1941 roku

Nastąpiły masowe aresztowania członków polskiego podziemia na podstawie rozpoznania, które już od jakiegoś czasu prowadzono. Wiadomości docierały do mnie niepełne. Postanowiłem je sprawdzić w Tarnobrzegu. Skierowałem się, jak zawsze, na ulicę Ogrodową, do byłego mojego zastępowego z okresu harcerstwa. Zbliżałem się do domku na obrzeżach miasta. Wzbudził mój niepokój kręcący się w pobliżu mężczyzna, w długim płaszczu nieprzemakalnym. Oddalony był około osiemdziesiąt metrów ode mnie. Szedł w moim kierunku. Wiedziałem, że tak zwykle ubierają się agenci Gestapo⁷⁴. Byłem zaskoczony. Było blisko do domu rodziców Genka⁷⁵. Zastanawiałem się, co dalej. Jak zwykle, w trudnych sytuacjach, zwróciłem się do Opatrzności. Nie wiedziałem, jak się zachować. Czy odwrócić się na pięcie

⁷³ Jan Baran był nie tylko nauczycielem i koordynatorem tajnych kompletów, ale również ich uczniem – ukończył tajne seminarium i został księdzem katolickim (zm. 1996).

⁷⁴ Gestapo – niemiecka tajna policja państwowa. Zwalczała polskie podziemie niepodległościowe.

⁷⁵ Eugeniusz Dąbrowski, ps. „Pliszka”, „Gienek” (1923–1996) – żołnierz Armii Krajowej, kawaler Krzyża Srebrnego Orderu Virtuti Militari. żołnierz oddziału partyzanckiego „Jędrusie”.

i wracać w kierunku, z którego przyszedłem, czy iść dalej na niego? Nie zmieniłem kierunku, przeszedłem obok niego, a za jego plecami, po przejściu około pięćdziesięciu metrów, wszedłem do domu Genka. Wahanie, zaniepokojenie z mojej strony świadczyłoby przeciwko mnie.

Rodzice Genka otworzyli mi drzwi i stanęli w nich przerażeni. „Dlaczego pan do nas przychodzi? Wczoraj Niemcy aresztowali naszego Tadeusza”⁷⁶. (Był on później więziony w Tarnowie i przewieziony do Oświęcimia⁷⁷ – nie wrócił). Zapytali, czy zwrócił moją uwagę ten spacerujący po ulicy, kiedy wchodziłem do domu. Powiedzieli, że Genek opuścił dom. Zalecili mi natychmiast to samo. Prosił bym nie kierować się w stronę ulicy, bym poszedł w stronę ogrodów. Wyprowadzili mnie z drugiej strony domu i wskazali kierunek na klasztor. Powiedzieli, by tam włączyć się w tłum, bo przy kościele przechadza się więcej osób.

Zauważyłem, że mój Tato śledzi z niepokojem to, co się dzieje w Tarnobrzegu. Wysłuchał mojego opowiadania i powiedział, że musimy

⁷⁶ Tadeusz Dąbrowski (1918-1942), współorganizator organizacji „Odwet”, zamordowany w KL Auschwitz.

⁷⁷ Chodzi o więzienie w Tarnowie i niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny KL Auschwitz. Tarnów był etapem, z którego kierowano więźniów do obozu Auschwitz.

uważać. Dotyczyło to i jego, gdyż kolportował gazetę podziemną „Odwet”⁷⁸, która wydawana była w Tarnobrzegu metodą powielaczową, ręczną. Punkt jej kolportażu był w Miechocinie. Tam został aresztowany mój sąsiad z ławki szkolnej, Czesiu Graboś – wywieziony został do Oświęcimia pierwszym transportem. Po około sześciu miesiącach nadeszło powiadomienie o jego śmierci na skutek „choroby serca”.

Aresztowania objęły tereny powiatu Tarnobrzeg, Nisko, Mielec. Niemcy mieli dobrze rozpracowane podziemie, aresztowali około stu osób.

Nasłuch radiowy

Rozwój wypadków skłonił nas do przyjęcia nowego zadania. Na Bukiem prowadzony był nasłuch radiowy przez ojca mojego kolegi, byłego komendanta policji granatowej⁷⁹. Została mu zwrócona uwaga, żeby zmienić lokalizację nasłuchu, bo zaczyna się tym interesować miejscowe środowisko. Mój Tata, po przeprowadzonej z kolegą rozmowie, zgodził się na przeniesienie radiostacji do naszego domu.

⁷⁸ „Odwet” – pismo podziemne wydawane przez organizację konspiracyjną Odwet od marca 1940.

⁷⁹ Policja Polska Generalnego Gubernatorstwa. Była podporządkowana niemieckiej Policji Porządkowej (Ordnungspolizei).

Obsługujący radiostację przychodził do nas kilka razy w tygodniu i prowadził nasłuch w pokoju od ogrodu. Nie trwało to jednak długo, bo sąsiedzi mogli obserwować wyjścia kolegi i zastanawiać się, dlaczego regularnie kieruje się w naszą stronę. A widoczny był w przestrzeni, bo towarzyszył mu duży pies – owczarek.

Ostrzegła nas miejscowa placówka Armii Krajowej⁸⁰, że Niemcy w ostatnim okresie szczególnie nasilili akcje, prowadzące do likwidacji polskiego podziemia. Tata zgodził się więc na utrzymywanie w konspiracji radia pod warunkiem, że właściciel nie będzie mógł do nas przychodzić.

Nasłuch miał być w tej sytuacji prowadzony przez mnie. Właściciel zapoznał mnie z obsługą aparatu, terminami nadawania komunikatów. Zadanie nie było takie proste, bo nie mieliśmy prądu. Źródłem zasilania były ogniwa mokre na salmiaku oraz ogniwa suche, baterijki do latarek, spięte razem około czterdziestu sztuk. W czasie nasłuchu odczuwałem dreszcze z emocji, gdy w radiu usłyszałem sygnał wywoływania radia i słowa w języku polskim. Mnie to imponowało.

⁸⁰ Zarówno Bukie, jak i Jadachy wchodziły w skład placówki Armii Krajowej w Chmielowie, funkcjonującej pod kryptonimem „Chleb”. Przynależała ona do Obwodu Tarnobrzeg ZWZ-AK „Twaróg”.

Te środki ostrożności jednak nie zapewniały bezpieczeństwa, musieliśmy radio bardziej ukryć, zakonspirować miejsce nasłuchu. Tata poddał myśl, by miejsce nasłuchu zlokalizować w spizarcie mieszkania od strony ogrodu. I to pod podłogą. Zerwaliśmy podłogę o powierzchni dwa na metr i zrobiliśmy wykop głębokości około półtora metra. Na to miejsce zasuwaliśmy skrzynię częściowo napętnioną zbożem jako maskowanie miejsca. Nie było to tak całkowite maskowanie, bo na strychu, przez całą jego długość, rozwieszona była antena radiowa z drutu miedzianego.

Żołnierz niemiecki z karabinem na dziki

W czasie prowadzenia nasłuchu radiowego miało miejsce zdarzenie, które wprowadziło nas w zakłopotanie. W okresie Bożego Narodzenia, w roku 1942, tuż po świętach zaproponowałem Rodzicom, że przyniosę radio z bunkra do mieszkania i załączę głośnik — posłuchamy muzyki i śpiewu kolęd. Tata przez chwilę zastanawiał się, czy to będzie rozsądne. Wówczas ja powiedziałem: „taka dziś śnieżycą, zaspę... kto tu przyjdzie do nas?”. Przyniosłem radio, podłączyłem głośnik. Muzyka płynęła ze świata.

Do dzisiaj pamiętam, jakie dreszcze odczuwałem już przy pierwszych taktach muzyki. Towarzyszyło mi uczucie radości. Słuchaliśmy około pół godziny, gdy uwaga nasza skupiła się na ostrym szczekaniu naszych psów. Przez okno zobaczyliśmy żołnierza niemieckiego, z karabinem. Był może dziesięć metrów od wejścia do mieszkania. Zaskoczenie było ogromne.

Nie wolno było posiadać radia w domu. Szybko wsunąłem odbiornik pod łóżko. Na baterie mokre rzuciłem jakąś ścierkę. Pozostałe baterie wrzuciłem na piec chlebowy, nakrywając je blaszanką do pieczenia ciasta. Później okazało się, że niechcący je rozładowałem. Nie było czasu na zastanawianie się. Nie była to istotna szkoda materialna. Zasadniczy kłopot polegał na tym, że trudno było je kupić. Kto w sklepach kupował więcej niż dwie baterie, to już mógł być podejrzewany, obserwowany.

Tata wepchnął pod łóżko wojskową uprzęż dla konia. Byliśmy kompletnie zaskoczeni. Niemiec, przy wchodzeniu do mieszkania, chwilę zatrzymał się przy drzwiach, by zrzucić śnieg z ubrania i butów. To opóźnienie przy wejściu, dało nam trochę cennych sekund, by ukryć to, czego nie chcieliśmy mu pokazać.

Niemiec wszedł do kuchni. Zachowywał się spokojnie. Widać było zmęczenie na jego twarzy. Posługując się szkolną niemczyzną, do-
wiedziałem się, że jest z jednostki wojskowej stacjonującej w Nowej
Dębie⁸¹ i że wybrał się w las na dziki. Przeszedł już ponad dziesięć
kilometrów. Mówił, że już błędził, kiedy zobaczył nasz dom.

Mama poczęstowała go kubkiem gorącej herbaty. Zwykle w domu
używaliśmy herbaty lipowej, dobrej na przeziębienie. Siedział przy
herbacie. Zauważyliśmy, że rozglądał się po całym mieszkaniu. Wy-
dawało nam się, że często spoglądał na te miejsca, gdzie był ukryty
aparat radiowy i końska uprząż. Jak popatrzyliśmy w te miejsca po
jego odejściu, to zauważyliśmy, że częściowo była dla niego widocz-
na skrzynka aparatu radiowego, a uprząż była prawie cała widoczna.

Żołnierz przez cały czas był przyjaźnie nastawiony. Nie okazywał
niemieckiej buty. Zapytał Tatę, gdzie może spotkać dziki i odszedł.
Był człowiekiem. Uznaliśmy, że nie należy spodziewać się, że może
nas spotkać jakaś krzywdą z jego strony, gdyby nawet zauważył, że
coś staraliśmy się szybko schować.

⁸¹ W ówczesnej Dębie znajdowała się komendantura poligonu niemieckich Wojsk
Lądowych pod nazwą „Truppenübungsplatz Süd” oraz duży niemiecki garnizon.

Po odejściu Niemca analizowaliśmy z Tatą zaistniałą sytuację i na wszelki wypadek zaostrzyliśmy konspirację. Mieliśmy szczęście, gdyż trafiliśmy na Niemca-człowieka.

Praca w gospodarstwie domowym

Pomagałem Mamie przy pracy w polu i gospodarstwie. Do ciekawych wspomnień należało ręczne dojenie sześciu krów, co dawało dwa wiadra mleka. Zdarzało się to, kiedy Mamy nie było w domu. Dojenie krów było uciążliwe, bo krowy oganiały się ogonem od much i bąków, które masowo atakowały. Bywało, że gdy dostałem ogonem w twarz, to ciemniało mi w oczach.

Tych atakujących owadów było tak wiele, że krowy i konie uciekały z pastwiska do stajni, ocierając się o gałęzie krzewów, by strącić owady z siebie. Często krowy i konie wchodziły do wody w stawach rybnych i tak się chroniły przed tymi owadami. Najbardziej owady atakowały zwierzęta i ludzi przed spodziewanymi opadami.

Z krowami łączy się i takie wspomnienie, jak odbiór porodu. Usłyszałem kiedyś głośne ryczenie krowy w stajni. Wszedłem i zobaczyłem

już nóżki cielaka na zewnątrz. Z takim przypadkiem nie spotkałem się wcześniej. Byłem sam w domu. Słyszałem tylko, że krowie rodzącej należy pomagać ciągnąć cielaka za nóżki, ku dołowi.

Szybko oczyściłem stanowisko, usuwając nawóz, rozłożyłem świeżej słomy i włączyłem się do pomocy krowie przy porodzie. Obawiałem się tylko, by cielak nie upadł z góry i żeby nie stała się mu krzywda. Przytrzymałem cielaka ręką, przesunąłem go następnie do głowy jego matki w celu obsuszenia. Udało się – pomyślałem.

Gdy cielak zaczął wstawać na nogi, podprowadziłem go pod wymiona krowy, a ten szybko zorientował się, do czego służą sutki. Jaka była dla mnie frajda, że wszystko się udało. Rodzice wrócili wieczorem. Pokazałem im niespodziankę, byli zaskoczeni.

Miałem również podobne przeżycia u świń. Z tym, że moja rola ograniczała się do opieki nad małymi, by matka nie wyrządziła krzywdy, obalając się na bok, by małego swoim ciałem nie przygniotła. Czasem zdarzały się wypadki, że urodziła więcej sztuk niż ma sutków (zwykle średnio dziesięć sztuk rodzi). W tym wypadku należy pomagać małemu z nadwyżki, by mógł również korzystać z karmienia przez matkę.

Zagrożenia

Pamiętam, jak bałem się burzy, wyładowań elektrycznych, które najczęściej trafiały w dwa wysokie dęby, jakie stały na środku podwórka. W czasie burzy Mama wystawiała w oknie zaświeconą gromnicę⁸², a nas gromadziła, klękaliśmy przed obrazem i odmawialiśmy litanie.

Uciążliwe były dla nas napady rabunkowe, najścia nocne i zabieranie, co się dało. Przeżywały to nasze psy, bo albo były bite, albo miały zastawiane wejścia we własnych budach. Złodzieje zabierali nawet buty i odzież osobistą. Bywało, że rano nie było się w co ubrać.

Zaczęliśmy chować na noc odzież. Gdy wszyscy poszli do łóżek, jeden z członków rodziny wynosił ją z domu i chował w budynkach gospodarczych. Zdarzyło się i tak, że przedmioty te zostały schowane do budy dla psa. Uważaliśmy, że to najbezpieczniejsze miejsce. Tymczasem rano zauważyliśmy, że psy powynosiły wszystkie przedmioty z budy na podwórko.

Pies nie rozumiał, że my oczekiwaliśmy od niego ochrony, zabezpie-

⁸² Poświęcona drugiego lutego, na Matki Bożej Gromnicznej, świeca z wosku pszczelego miała mieć moc ochrony obejścia przed piorunami.

czenia. On przyjął, że ograniczamy jego przestrzeń życiową w jego własnej budzie.

Tato przechowywał w stajni pistolet, kaliber 5⁸³, który dostał w 1939 roku na przechowanie od oficera polskiego. Koń pistolet wygarnął kopytami do tyłu. Podobnie uważał, że do jego legowiska włożono mu obcy przedmiot.

Niemcy i kwaśne mleko

Było to we wrześniu 1942. Dzień był słoneczny i ciepły, południe. Przewadziłem nastuch radiowy w bunkrze. Usłyszałem nagle gwałtowne szczekanie psów. Wyszedłem z bunkra, pozostawiając wszystko na chodzie. Szczekanie psów, jak się gwałtownie zaczęło, tak gwałtownie się uciszyło. Na podwórku pojawiło się nagle około pięćdziesięciu żołnierzy niemieckich z rowerami. Pamiętam, jaka pustka w głowie mnie ogarnęła, załamane się – co robić? Różne pomysły pchały się do głowy. Zdawałem sobie sprawę z powagi niebezpieczeństwa dla mnie i rodziny.

⁸³ Nie jest jasne, co miałyby oznaczać taki kaliber. Typowym pistoletem polskiego oficera w tamtym czasie był Vis wz. 35 o kalibrze 9 mm. Kaliber 5 mógłby odnosić się do jakiegoś prywatnego pistoletu na niewielki naboń kalibru .22 zwany też 5,6 mm.

Ukrycie radia i miejsca, gdzie prowadzony był nasłuch, to były minuty. Odrzuciłem ten pomysł, bo za długo by to trwało. Byłem przez Niemców jeszcze niezauważony – mogłem uciekać. Około osiemdziesięciu metrów od domu był mały lasek. Pierwszy odruch tam mnie właśnie kierował. Wahatem się – ucieczka zauważona, to potwierdzenie winy.

W tym momencie złożyłem ręce, oblała mnie jakaś zimna krew i, jakby nic się nie stało, wyszedłem do Niemców na podwórko. Niemcy byli zmęczeni jazdą na rowerach po drózkach leśnych, spragnieni picia. Skoncentrowali się na studni. Co tylko któryś spróbował wody, spluwał na boku. Tylko niektórzy decydowali się wypić więcej wody. Woda miała rudy kolor, nieprzyjemny zapach i smak, a to za przyczyną rud darniowych⁸⁴ zalegających na tym terenie. Niemcy pousiadali, gdzie mogli; wychodziło z nich zmęczenie.

Wówczas szkolną niemczyzną zapytałem, czy napiją się mleka. Propozycję przyjęli z ożywieniem. Z ziemianki wyniosłem kilka dużych, glinianych garnków z mlekiem. Wyniosłem z domu kubki, jakie były. Mleko z garnków czerpałem nabierką. Pamiętam, jak dziwili się, jaki wyrażali zachwyt, kiedy mleko zsiadłe utrzymywało się jak galaretka.

⁸⁴ Zalegające płytko pod powierzchnią ziemi rudy żelaza.

Szczególnie jeden głośno zachwalał, jakie to jest mleko dobre. I szybko otoczyli pijalnię mleka, a było to na ławce przy domu. Opróżnione zostały wszystkie garnki z mlekiem, jakie były w piwnicy. Nastąpiło ogólne ożywienie.

Trudne jest to do zrozumienia, że żaden z nich nigdzie nie zaglądał – ani do mieszkania, ani do budynków gospodarskich. Nie weszli również na teren ogródka warzywnego, przez który przechodziło się do bunkra. A przecież przyjechali z takim zadaniem, jak się później dowiedzieliśmy. Była to zorganizowana akcja przeglądu wszystkich osad leśnych.

Podziękowali za mleko, opuścili podwórko, a pieski wystraszone wyszły z budy. Ja natomiast pozostałem, rozmyślałem i ponownie podniosłem ręce do Opatrzności. Tata dowiedział się wcześniej, że taki oddział Niemców jedzie, denerwował się tym bardziej, że sam byłem w domu. Kiedy spotkaliśmy się z Tatą, odparowywaliśmy długo napięcie, zastanawialiśmy się, co dalej z nastuchem, jeśli Niemcy w takie zakątki, w takie odludzia zaglądają.

Wyprowadzamy się na Bukie

Tym, co zaszło, zaniepokojony był też przełożony Taty, inżynier Prawocheński, mieszkający w pałacyku na Bukiem (pałacyku już dawno nie ma — spalił się). Był chyba w tym miejscu, gdzie dom, w którym mieszkali Drągowie, albo blisko niego. Prawocheński przystąpił niezwłocznie do przygotowania dla nas mieszkania na Bukiem. Wydzielił je z końskiej stajni. Z tym, że wejście było od ogrodu. Małe powierzchniowo, pokój z kuchnią.

Decyzję o przeprowadzeniu się rodzina przyjęła z ulgą. Nareszcie skończą się nocne napady, rabunki, jakie przeżywaliśmy na Kosiarzowym Grądzie. Nie będziemy sami, będziemy mieli sąsiadów.

Z łezką w oczach opuszczałem dotychczasowe miejsce zamieszkania, to piękne środowisko przyrodnicze, w którym przebywałem w moich młodościowych latach. Ten młodościowy okres życia pamięta się najdłużej. Utrwała się najsilniej.

Mieszkanie, jakie opuszczaliśmy, zostało rozrabowane do fundamentów po naszym wyprowadzeniu się. Na tym miejscu rośnie las.

Trudno było znaleźć to miejsce obecnie, kiedy z synami próbowałem tam dotrzeć. Synowie znaleźli tylko takie znaki, jak: stara, mała, dzika grusza i dołek po studni.

Liceum Rolnicze w Suchodole koło Krosna

Tata rozważał, jak mnie zabezpieczyć. Podsunąłem mu myśl wyjazdu z tego terenu. Powiedziałem, że mam informację od kolegi z Tarnobrzegu, że wybiera się do liceum rolniczego⁸⁵.

W okresie okupacji nie działały szkoły, ale szkołę rolniczą sami Niemcy proponowali. Tata akceptował, prosił, bym utrzymał kontakt z kolegą i przygotowywał się równocześnie do egzaminu wstępnego, jaki miał się odbyć w miesiącu czerwcu 1942. Zamiar został zrealizowany — egzamin zdaliśmy obaj, a naukę rozpoczęliśmy we wrześniu.

Placówka posiadała duży budynek — na dole sale wykładowe, na górze internat, sypialnie. Były to duże sale, mieszczące około dwudziestu łóżek. Własne przedmioty, bieliznę każdy trzymał w walizce pod łóżkiem. W zimie mróz usadawiał się na ścianach i oknach. Trudne

⁸⁵ Chodzi o powstałą w 1892 w podkrośnieńskiej wsi Suchodół Krajową Niższą Szkołą Rolniczą.

tu były warunki zamieszkania.

To była szkoła na poziomie średnim. Zajęcia dydaktyczne prowadzili profesorowie Politechniki Warszawskiej. Wykłady prowadzone były z prawdziwą znajomością tematu. Tu poczułem smak słuchania wykładu. Szczególnie dużo skorzystałem w zakresie botaniki, biologii, chemii.

Kierownik szkoły prowadził statystyczne dane pozwalające wskazać ucznia, który osiąga najlepsze rezultaty. Coś we mnie tkwiło, tęsknota za nauką, czy chęć do nauki, bo z zebranych danych wynikało, że uzyskałem największą liczbę punktów w całej szkole.

Odczuwałem, że jestem zauważany nie tylko wśród kolegów, ale i wśród grona pedagogicznego. W wielu wypadkach koledzy zwracali się do mnie z prośbą o pomoc w nauce, a była to młodzież różna. Również z tytułami hrabiowskimi.

W roku szkolnym miał miejsce wypadek, który mógł zmienić bieg mojego życia. Wracałem po świętach z Bukiego do Krosna. Dojechałem pociągiem do Dębicy. Tu okazało się, że nie mam połączenia pociągiem do Tarnowa, skąd miałem dojechać do Krosna...

Urlaubzug

Na rozkładzie jazdy zwrócił moją uwagę pociąg ze Lwowa do Berlina dla żołnierzy niemieckich udających się na urlop. Wiedziałem, że nie mają do niego wstępu cywile, a szczególnie Polacy, że pociąg ten jest specjalnie ochraniały. Przed jego przyjazdem wszystkich cywili żandarmeria wojskowa usuwa z peronu. W czasie postoju pociągu na stacji żandarmeria ustawia się w rzędzie przed pociągiem, około pięć metrów jeden funkcjonariusz od drugiego. Wiedziałem, gdzie w Dębicy zatrzymuje się parowóz w celu nabrania wody. Blisko tego miejsca znajdują się ubikacje z wejściem od strony peronu.

Przypięła się do mnie natrętna myśl, że tym pociągiem dojadę do Tarnowa. Wiedziałem, że moje wejście do pociągu zabezpieczy para, jaka wydobywa się z parowozu podczas pobierania wody, że nie będzie mnie widać podczas wsiadania.

Jakaś siła pchała mnie do realizowania tego pomysłu. Poszedłem wcześniej do ubikacji, wszedłem do kabiny i oczekiwałem na nadejście pociągu. Rozważania moje przerwało czyjeś wejście. Ktoś sprawdzał i nasłuchiwał, czy nikt tu się nie ukrył. Przypuszczam, że

był to żandarm, bo nikt w tym czasie nie spacerowałby peronem.

Po krótkim czasie usłyszałem sygnał i pociąg wjechał na peron. Uchyliłem drzwi i utwierdziłem się w przekonaniu, że parowóz zatrzymał się w miejscu, w którym przewidywałem, że występują kłęby pary.

Wyszedłem na peron, ale kiedy byłem już prawie na schodach wagonu, zacząłem mieć wątpliwości, czy powinienem wsiadać. Maszynista dał sygnał do odjazdu i dla mnie nie było już wyboru. Zostając na peronie przestałbym być osłonięty przez parę i zostałbym zauważony przez żandarma. Chciałem szybko wejść do wagonu, ale coś mi utrudniało otwarcie drzwi. Zorientowałem się, że o drzwi wagonu oparty był żołnierz, który siedział przy drzwiach i spał. Próbowałem go odsunąć od drzwi, bo w przypadku ich otwarcia moglibyśmy obaj wypaść. Wcisnąłem się i stałem oparty o drzwi, a on o mnie.

Po jakichś dwudziestu minutach zobaczyłem, że z głębi wagonu posuwa się w moim kierunku jakiś pasażer. Wagon nie był oświetlony, widać było tylko słabe światło. Żołnierz z latarką kierował

się do WC, świecąc pod nogi, by nie stanąć na innych siedzących na podłodze. Zobaczyłem, że tam w różnych pozycjach spali żołnierze. Obok nich leżała broń i plecaki. Żołnierz zwrócił się do mnie po niemiecku: „Co, ty nie śpisz?”. Szkolnym niemieckim odpowiedziałem, że jestem uczniem, że jadę tylko do Tarnowa. Ten oficer był zaskoczony, oświetlił mnie latarką i zwrócił się do mnie „ach, cywil!”. Do Tarnowa nie odszedł ode mnie ani na chwilę. Pilnował mnie. Może posądził mnie o możliwość wykonania zamachu na ten pociąg.

Zastanawiałem się, jaka będzie jego reakcji na obecność cywila w wagonie wojskowym z żołnierzami w pełnym uzbrojeniu. Czy pozwoli mi wysiąść z pociągu w Tarnowie? Jaka będzie reakcja żandarmerii, gdy będę wychodził z pociągu. Tego wszystkiego nie rozważałem wcześniej i nie brałem pod uwagę, decydując się na ten głupi pomysł. Zostałem zauważony w pociągu na odcinku trasy, gdzie najczęściej występują akcje wysadzania pociągów przez polskie podziemie. To wszystko nie nastrajało mnie dobrze.

Zbliżaliśmy się do Tarnowa, pociąg zwalniał bieg, widziałem peron silnie oświetlony, szpaler żandarmerii wojskowej z charakterystycz-

nymi, znamionnymi ryngrafami⁸⁶ na piersi. A ja już przestałem myśleć, stałem się przedmiotem w ręce pilnującego mnie oficera. Daje mi znak, bym wysiadł z wagonu, dalej pokazuje bym szedł przed nim. Dla mnie było wówczas zrozumiałe, że przekaże mnie w ręce żandarmerii. Podeszedł do jednego z nich, rozmawiał chwilę i następnie dał mi znak, bym szedł przed nim w kierunku dworca. Tam wprowadził mnie do poczekalni dworca kolejowego, otworzył drzwi i palcem pogroził, bym nie wychodził.

Przez chwilę nie wierzyłem w to, co się stało. Pociąg z żołnierzami niemieckimi odjechał. Czekąłem na pociąg do Krosna. Siedziałem w poczekalni i całość zdarzenia odtwarzałem w głowie. Postąpiłem głupio. Durnowato. Naraziłem siebie na niebezpieczeństwo więzienia, obozu, a Rodziców na zmartwienie i kłopoty. Terminowy dojazd do szkoły nie wymagał tego, nie wart był takiego ryzyka.

Wsiadłem do pociągu jadącego do Krosna, na którym tak mi zależało. Przyjechałem już w godzinach późnych, około dwudziestej pierwszej. Gdy wychodziłem z dworca na zewnątrz, ktoś szarpnął

⁸⁶ Chodzi o niemiecką żandarmerię polową. Służący w niej żołnierze nosili charakterystyczne ryngrafy – blaszane naszyjniki z napisem: Feldgendarmarie i wizerunkiem nazistowskiego orła.

mnie za ramię i przyciągał do siebie gwałtownym ruchem. Okazało się, że był to żandarm, który ukrył się za murem i wysuniętą ręką, jak wędką, wyciągał z tłumu wychodzących pasażerów, którzy wydawali mu się podejrzani. Szybko skojarzyłem, że to ma związek z Tarnowem. Może byłem śledzony, ale sprawdzili mi tylko dokumenty i zwolnili.

„Nareszcie” — westchnąłem. W szkole, leżąc w łóżku, długo jeszcze rozmyślałem. Jedno było pewne. Trafiłem na Niemca-człowieka.

Liceum Rolnicze w Czernichowie

Po rocznym okresie nauki w Liceum Rolniczym w Suchodole, w roku 1943/1944 kontynuowałem naukę w szkole rolniczej w Czernichowie koło Krakowa. Szkoła w Czernichowie cieszyła się dobrą opinią. Uczyli w niej profesorowie z Dublan koło Lwowa i z Politechniki Lwowskiej. Szkoła posiadała piękny budynek oraz piękne zabudowania gospodarcze doświadczalnego gospodarstwa rolnego. Całość zlokalizowana była w uroczym zakolu Wisły, którą płynęły rejsowe statki do Krakowa. Nauka przebiegała normalnie do czasu wylądowania wojsk alianckich w Normandii⁸⁷. Wiedzieliśmy o tym, śledzili-

⁸⁷ Operacja wojsk alianckich rozpoczęła się szóstego czerwca 1944.

śmy informacje na ten temat. Przynosiły nam otuchę, nadzieję, że odzyskamy wolność.

Pewnego dnia, wiosną 1944 – zauważyliśmy, że na dziedzińcu szkoły zajechały dwa duże, ciężarowe samochody nakryte plandeką. Towarzystwo im samochód osobowy. Wyszli z niego oficerowie Niemcy i skierowali się do kancelarii dyrektora szkoły. Dyrektorem był wówczas bardzo lubiany i ceniony przez nas Polak.

Upłynęła godzina i otrzymaliśmy polecenie zebrania całego rocznika w dużej, reprezentacyjnej sali. Przyszliśmy, ustawiliśmy się w dwus szeregu i czekaliśmy, co nastąpi dalej. Czuliśmy, że dzieje się coś niedobrego. Zastanawialiśmy się po co przyjechały te samochody ciężarowe. Do sali wszedł dyrektor szkoły razem z dwoma oficerami. Jeden z oficerów zabrał głos, a dyrektor tłumaczył.

Pierwsze słowa wypowiedziane przez oficera były mniej więcej następującej treści: „nastąpiła chwila obrony III Rzeszy Niemieckiej i narodu polskiego przed nawałą bolszewicką ze Wschodu. Dlatego musimy podjąć zadanie budowy wału wschodniego. Udział w budowie

został zlecony również uczniom tej szkoły”⁸⁸.

Dyrektor, zwracając się do nas, powiedział, że w tym zadaniu uczestniczyła będzie cała grupa, cały rocznik i będzie z nami nasz nauczyciel. Będziemy traktowani jako reprezentacja szkoły, bo odpowiedzialność za wykonanie tego zadania będzie odnoszona do całej szkoły.

Zakomunikowano nam, żeby za pół godziny zebrać się na placu szkolnym. Wystąpił jeszcze jeden nauczyciel, któremu przypadła rola wyjazdu z nami. On miał być łącznikiem między szkołą a jednostką niemiecką budującą wzmocnienia. Wsiedliśmy do samochodów, w których byli konwojujący nas żołnierze.

Obóz w Krakowie-Płaszowie

Tak dojechaliśmy późnym popołudniem do obozu w Płaszowie. Był to obóz przejściowy⁸⁹, w którym kompletowane były transporty

⁸⁸ Wpisywało się to w ówczesny kurs niemieckiej propagandy względem Polaków, których agitowano do walki z bolszewikami. Kurs ten był widoczny po klęsce armii niemieckiej pod Stalingradem. W Generalnym Gubernatorstwie przed nadejściem Armii Czerwonej Niemcy budowali kilka linii fortyfikacji. Przy ich budowie angażowano Polaków.

⁸⁹ W Płaszowie zlokalizowany był obóz koncentracyjny KL Płaszów, w którym znajdowali się Żydzi. Został utworzony przez Niemców w październiku 1942 na terenie krakowskich dzielnic Podgórze i Wola Duchacka. Płaszów powstał jako obóz pracy

do pociągów jadących w różnych kierunkach. Wiedzieliśmy, że obóz ten brał duży udział w kompletowaniu transportów z Żydami do Oświęcimia.

Weszliśmy do typowych baraków obozowych – prycze drewniane przy ścianach dłuższych, trzypoziomowe. Zaczęliśmy je zajmować. Ja, nie mając w tym zakresie żadnego doświadczenia, wybrałem miejsce na pryczy trzeciej – pod samym dachem.

Po tych przeżyciach ułożyliśmy się do spania. W nocy obudziły mnie rozmowy i światło. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem na suficie morze czerwonych punktów na białym tle. Kiedy się jednak bliżej przyjrzałem, rozpoznałem pluskwy. Pluskwy były w tak dużej ilości, że sufit wyglądał jak sukienka w czerwone groszki. Wchodziły po ścianach na sufit i spadały na śpiących. Mnie nie obudziły pluskwy, bo nie odczuwałem bólu spijanej krwi. Obudziło mnie zachowanie

(Zwangsarbeitslager Plaszow des SS – und Polizeiführers im Distrikt Krakau – ZAL Plaszow) i był przeznaczony dla Żydów ze zlikwidowanego w marcu 1943 roku krakowskiego getta. W latach 1943–1944 osadzono w nim także Żydów ocalałych ze likwidowanych przez Niemców gett w Bochni, Tarnowie, Wieliczce, Rzeszowie, Przemyśle oraz z obozu pracy w Szepienicach. Lokalizacja miejsca, do którego trafił autor jest na chwilę obecną trudna do ustalenia. Z całą pewnością nie był to KL Plaszow. Być może był to obóz o nazwie Lager Waska, zlokalizowany przy ul. Sokolskiej i podporządkowany niemieckiemu Urzędowi Pracy (Arbeitsamt).

kolegów, zaatakowanych przez pluskwy. Nie mogli spać z powodu gryzącego robactwa.

Nie wiem, czym można to wytłumaczyć, że mnie nie atakują insekty. Nie tylko, jak w tym wypadku, pluskwy. Widocznie nie smakowała im moja krew.

Po chwili zasnąłem ponownie, a koledzy walczyli z nimi do rana. Rano, gdy się obudziłem, nie widziałem żadnej pluskwy, gdyż już zdążyły się pochować w szczeliny między tarcicą. Polują i atakują tylko w nocy.

W obozie spotykaliśmy różne narodowości: Żydów, Cyganów i innych o wschodnich rysach twarzy. Obóz zrobił na nas wrażenie. Wygląd baraków, warunki życia obozowego, sposób poruszania się, częste apele.

Nie czekaliśmy długo — po kilku dniach zostaliśmy wyprowadzeni rankiem na peron. Był już tam podstawiony pociąg, cały skład złożony z bydlęcych wagonów. Przechodząc wzdłuż pociągu, zauważyłem w przymocowanych do każdego wagonu kartkach, że stacją docelową jest Rozwadów, a więc moje niemal rodzinne strony. Przejeżdżaliśmy przez Dębicę, Chmielów, Tarnobrzeg.

Obóz nad Sanem koło Rozwadowa

W Rozwadowie na dworcu kolejowym oczekiwali na nas funkcjonariusze obozu. Jakiś sierżant z kilkoma żołnierzami. Po wyjściu z wagonów ustawiliśmy się na peronie w kolumnę marszową – czwórkami przeszliśmy przez miasto w otoczeniu niemieckich żołnierzy konwoju. Sierżant, który nas prowadził, zażyczył sobie byśmy śpiewali jakąś piosenkę marszową. Włączał czasem słowa z języka polskiego. Przypuszczalnie był Ślązakiem, o czym później przekonaliśmy się w obozie.

Dla nas marsz ze śpiewem do obozu nie wydawał się radosny. Musieliśmy przejść prawie trzy kilometry, by dojść do obozu. Sierżant nadal nalegał, byśmy śpiewali. Wyjął z kabury pistolet i zaczął nim wykonywać jakieś dziwne ruchy nad głową. W pewnej chwili wypowiedział do nas czysto po polsku: „śpiewajcie 'Jeszcze Polska nie zgięła'”. Tym nas zaskoczył. Zauważyliśmy również, że jest już po alkoholu. Żołnierze nas konwojujący zeszli z drogi polnej, szli z nami równolegle, polem.

Zauważyliśmy, że opór z naszej strony, odmowa śpiewania powoduje wzrost napięcia. Zaczęliśmy mruczeć melodię liczenia od jednego do

dziesięciu i z powrotem. To uspokoiło sierżanta. Tak doszliśmy do obozu, który znajdował się przy małej wiosce, przy wale ochronnym Sanu⁹⁰. Już było ciemno. Okazało się, że miejsce dla nas nie zostało przygotowane, albo zostało wcześniej zajęte przez ludzi ze wschodnimi rysami twarzy, a także przez Cyganów.

Zatrzymaliśmy się przed dużymi, okrągłymi namiotami z cyrkowym wyposażeniem. Sierżant wypędzał pistoletem z namiotów tych mieszkańców, którzy je zajęli. Gdy zobaczyliśmy kogo wypędza — osoby wystraszone, uciekające nawet w bieliźnie, to odmówiliśmy wejścia do tych namiotów. Nasz profesor po rozmowie z komendantem obozu poinformował, że tej nocy będziemy spali u gospodarza, w stodole. Wiadomość tę przyjęliśmy z zadowoleniem, bo wiadomo, że spanie na słomie w stodole, to nie to samo, co w brudnym namiocie.

Weszliśmy na podwórko gospodarza, a było to około dwudziestej czwartej. Konwojujący byli ci sami. Sierżant zapukał do drzwi, następnie uderzał w okna w celu obudzenia gospodarzy. Wyszli razem przed dom w nocnej bieliźnie, wystraszeni tym, co zobaczyli przed

⁹⁰ Być może chodzi tu o obóz w miejscowości Ractawice koło Niska, gdzie skoszarowano robotników przymusowych budujących umocnienia fortyfikacyjne na linii rzeki San.

domem – dużą grupą cywilów konwojowanych przez Niemców.

My zostaliśmy tam, gdzie staliśmy, a sierżant z gospodarzem poszli otwierać stodołę. Były jakieś trudności z otwarciem, prawdopodobnie gospodarz w zdenerwowaniu nie mógł dobrać klucza do kłódki. Sierżant chwycił ręczny granat i próbował uderzeniem rozbić kłódkę.

Scena nas sparaliżowała i błyskawicznie odbiegliśmy od stodoły w głąb podwórka. Spodziewaliśmy się wybuchu granatu. Głośne uwagi obecnych tam żołnierzy niemieckich uspokoiły sierżanta. Oni też mieli stracha. Sierżant zrezygnował z tego pomysłu. Po jakimś czasie kłódką puściła i ułożyliśmy się w stodole, na słomie.

Tak się nam to miejsce spodobało, że prosiliśmy naszego profesora, by próbował uzyskać zgodę komendanta obozu, by pozostawili nas w tej stodole na cały okres pobytu. Przecież nie pojawia się niebezpieczeństwo ucieczki, gdyż odpowiada za nas nasza szkoła. Po kilku godzinach profesor uzyskał taką zgodę. Natomiast posiłki wydawane były na terenie ścisłego obozu i tam kierowaliśmy się w kolumnie marszowej. Tego komendant sobie zażyczył, gdyż łatwo mogli sprawdzić, ilu nas jest.

Pierwszy dzień budowy umocnień ziemnych upłynął spokojnie. Tworzyliśmy bunkry, rowy strzeleckie, punkty obserwacyjne. Bezpośrednim naszym przełożonym był majster budowy. Otrzymywaliśmy na każdy dzień zadanie wykonania kolejnego fragmentu mini-muru. Majster miał z nami wygodę, bo zawsze jako jednostka stanowiliśmy grupę. Nie musiał interesować się poszczególnymi osobami.

Wspomniane umocnienia budowaliśmy w bezpośredniej odległości od wałów ochronnych rzeki San. Kopanie zagłębień w ziemi wykonywaliśmy ręcznie. Jak również ręcznie ziemię przemieszczaliśmy. Brzegi umocnień utrwalaliśmy palami wbijanymi w ziemię. Powierzchnie między palami utrwalaliśmy wikliną i drutem. Praca wymagała dużego wysiłku fizycznego.

Wody Sanu ochładzały nas z daleka. Próbowaliśmy uzyskać zezwolenie na kąpanie się pojedynczo. To dawałoby okazję do umycia się, ale nam odmówiono. Wałem spacerowali żołnierze niemieccy, którzy nas pilnowali. Podobnie tak był strzeżony cały teren budowy.

Żołnierze, którzy nas pilnowali, nie nawiązywali z nami żadnych roz-

mów. Mieli taki zakaz. Byli to bowiem Ślązacy, którzy znali dobrze zarówno język polski, jak i niemiecki. Pewnego razu zbliżył się do nas jeden z żołnierzy i zwrócił nam – w języku polskim – uwagę, byśmy uważali, bo wszyscy znają język polski, ale się z tym nie zdradzają. Innym razem przechodziłem z kolegą obok żołnierza, któremu wyrwało się słowo polskie. Zwróciliśmy mu uwagę, że zna język polski, ale ten bez słowa od nas odszedł.

Tak upłynął miesiąc pracy obozowej. Niemcy dotrzyмали szkole warunków i zostaliśmy zwolnieni. Wracaliśmy, każdy do własnego domu, pociągami osobowym. Na zakończenie otrzymaliśmy kartki na zakup ubrania. Otrzymaliśmy również zaświadczenie o wykonanej pracy dla potrzeb obronnych Rzeszy. Takie zaświadczenie należało zarejestrować w Urzędzie Pracy w Dębicy⁹¹, by chronić przed wywozem do Niemiec lub zabieraniem do innych obozów.

W domu Rodzice i bracia ucieszyli się moim powrotem. I tak zaczęło się opowiadanie co u mnie, co w domu. Tata poinformował mnie, że ze Stalów i Tarnobrzegu przychodzą pisma urzędowe, by syn

⁹¹ Tereny rodzinne autora przynależały do okupacyjnego powiatu Dębica. Z tego wynikała potrzeba rejestracji w Niemieckim Urzędzie Pracy akurat w odległej Dębicy.

spełnił obowiązek pracy w Hufcach Pracy⁹². Niemcy wprowadzili taki obowiązek, by utrzymać kontrolę nad młodzieżą. Powiedziałem Tacie, że otrzymałem zaświadczenie zwalniające mnie z tego obowiązku, z tym, że należy je zarejestrować w Urzędzie Pracy w Dębicy.

Obóz w Pustkowie koło Dębicy

Wyjechałem do Dębicy w celu zarejestrowania zaświadczenia, jakie otrzymałem w Rozwadowie. W Dębicy inaczej interpretowali treść zaświadczenia, a mianowicie — otrzymane przeze mnie zaświadczenie dotyczy tylko tych przypadków, kiedy nie otrzymałem jeszcze wezwania. Okazało się, że takie wezwania już otrzymałem, nie zgłosiłem się i teraz czeka mnie obóz karny. Tak mi to wytłumaczyli, następnie oddali pod opiekę konwojenta, który dowiózł mnie do obozu w Pustkowie⁹³, oddalonego około dziesięciu kilometrów od Dębicy. Były to tereny poligonu wojskowego⁹⁴, gdzie prowadzone

92 Chodzi o Służbę Budowlaną w Generalnej Guberni (Baudienst). Byli do niej powoływani młodzi Polacy i Ukraińcy. Świadczyli oni pracę na rzecz okupanta niemieckiego. Oddziały Baudienstu znajdowały się m.in. w Dębie i Rudniku nad Sanem oraz w Stalowej Woli. Oddziały Baudienstu skoszarowane były w barakach, junacy nosili specjalne mundury służbowe i obowiązywał ich rygor wojskowy.

93 W miejscowości Pustków zlokalizowany był niemiecki obóz pracy przymusowej (Zwangsarbeitslager). Autor trafił jednak do oddziału Służby Budowlanej w Pustkowie, który wykonywał prace na stacji kolejowej Kochanówka.

94 W miejscowości Pustków znajdowała się komendantura i koszały poligonu SS „Heidelager”. Po zbombardowaniu przez aliantów głównego ośrodka rakietowego

były próby z rakietami V1. Tam znajdował się karny obóz pracy, obóz polityczny i jednostki wojskowe związane z prowadzonymi próbami zastosowania tej nowoczesnej broni.

Teren był ściśle strzeżony, obóz posiadał wyższy standard zabezpieczenia, ogrodzenie wysokie, w dwóch rzędach, drut kolczasty, nachylony do wewnątrz obozu. Na zewnętrznej stronie obozu, poza ogrodzeniem znajdowały się wieże wartownicze na wysokość piętra. Wewnątrz wieży znajdowało się pomieszczenie do prowadzenia obserwacji o powierzchni kilku metrów kwadratowych. Na zewnątrz wieży znajdował się balkonik, który okalał wieżę. Takie wieże stały w odległości około stu pięćdziesięciu metrów jedna od drugiej.

Na teren obozu wjeżdżały pociągi przez bramę specjalnie zabezpieczoną. Pomyślałem: ale się znowu wpakowałem. Zostałem przekazany w biurze, skąd skierowali mnie do jednego z baraków. Stałem już do wieczornego apelu na placu obozowym. Tam zorientowałem się, że jestem sam w cywilnym ubraniu. Stałem na końcu szeregu.

Niespodziewanie spotkałem kolegów z Tarnobrzegu, którzy otoczyli

w Peenemünde poligon doświadczalny niemieckiej broni rakietowej V przeniesiono do miejscowości Blizna.

mnie i pytali, w jaki sposób tu się znalazłem. Jeden z nich proponował mi z naciskiem, bym podjął próbę ucieczki — póki nie zmienią mi ubrania. Powiedział, że cywilne ubrania ułatwią mi ucieczkę.

W tym czasie następował podział na grupy, którym przydzielane były zadania. Znalazłem się w grupie około siedmiu osób, których zadaniem miało być przenoszenie tarcicy ze składu znajdującego się na zewnątrz obozu w odległości około osiemdziesięciu metrów od bramy wjazdowej pociągu. Brama obozowa w czasie przenoszenia tarcicy była otwarta, lecz dodatkowo chroniona. Przeszliśmy przez bramę zamykającą torowisko i doszliśmy do składu tarcicy. Stanęliśmy chwilę i koledzy nadal namawiali mnie do ucieczki. Wejdę w las i nikt nie będzie na mnie zwracał uwagi, mam cywilne ubranie. Takiej okoliczności wcześniej nie rozważałem.

Wtem, ktoś z obozu ściągnął mnie wzrokiem. Był to strażnik, który obserwował mnie, cywila w towarzystwie mieszkańców obozu. Zwróciłem im uwagę, że jestem obserwowany i nie mogę uciekać do lasu.

Chwila zastanowienia, prośba do Opatrzności i poczułem zimną krew. Uspokoilem się i oddaliłem od kolegów, przybierając kierunek

na obserwującego nas strażnika, a w rzeczywistości do drogi leśnej, jaka prowadziła równolegle do ogrodzenia obozu i linii wież obserwacyjnych⁹⁵.

Strażnik zszedł z wieży i oczekiwał mnie przy tej drodze. Poczułem się już w określonym toku postępowania. Trochę bezczelnie wszedłem na lewą stronę drogi, przy której oczekiwał mnie strażnik. Po dojściu do niego na odległość około dwudziestu metrów, przeszedłem na prawą stronę drogi. Wiedziałem bowiem, że nie można podchodzić na bezpośrednią odległość do żołnierza niemieckiego (względny bezpieczeństwa). Należało natomiast zdjąć czapkę i powiedzieć „dzień dobry” w języku niemieckim. Tak zrobiłem. Obszedłem zakolem strażnika.

Odczułem duże napięcie. Nie oglądałem się, oczekiwałem słowa „halt”. Nie wiem czym można było wytłumaczyć takie zachowanie Niemca w tej sytuacji. Przecież miał coś do wyjaśnienia, miał chyba wątpliwość, jeśli zszedł z wieży strażniczej, doszedł do drogi, oczekiwał na moje podejście. Wierzę w Opatrzność Bożą.

⁹⁵ Dezerccje z Baudienst były na porządku dziennym. Ułatwiał je fakt, że części junaków nie wydano umundurowania. Dzięki temu autor wspomnień łatwo zbiegł z miejsca przymusowej pracy.

Napięcie w miarę oddalania się spadało. Najbliższą ścieżką w prawo wszedłem w las. Tak doszedłem do pola, gdzie spotkałem rolnika z wozem, który nakładał snopy żyta i sam następnie wchodził na wóz i układał je. Pomyślałem, żeby mu pomóc. Podawałem mu na wóz, a on na wozie układał. Był moją propozycją zachwycony, zaskoczony takim zachowaniem młodzieńca, który wyszedł z lasu i proponuje pomoc. Po załadowaniu wozu zbożem zapytałem, czy mogę razem z nim dojechać do wioski. Nie wyraził sprzeciwu.

Po przyjechaniu do jego gospodarstwa pomogłem w stodole rozładować zboże. Spytałem, czy mogę odpocząć w stodole do wieczora. Oczywiście wyraził zgodę. Po pewnym czasie przyniósł mi coś do picia. Może wyczuł, zrozumiał moje położenie. W stodole przeleżałem do godzin rannych, gdyż bałem się jechać pociągiem nocnym, który często był sprawdzany.

Jak się później dowiedziałem, moje wyjście z obozu wywołało jakieś zamieszanie i miała miejsce kontrola w pociągu. Przed wejściem do pociągu sprawdzałem czy nie ma żandarmerii, jak również obserwowałem na każdej następnej stacji czy żandarmi się nie dosiadają.

Wysiadłem jedną stację przed docelową dla mnie stacją w Chmielowie i drogami polnymi doszedłem na Bukie. Miało to miejsce już o zmroku, by sąsiedzi nie zauważyli mojego przyjścia. Noc spędziłem w stodole na sianie. I tam nocowałem przez ponad tydzień. Po tym czasie doszedłem do wniosku, że nie jestem poszukiwany. Było to wynikiem, jak przypuszczam, małej aktywności Niemców, gdyż zbliżał się już front wschodni i Niemcy tę atmosferę przeczuwali. W dwa tygodnie mieliśmy już na Bukiem żołnierzy radzieckich.

VI Pierwsze dni odzyskania niepodległości

Nadejście frontu

W dniu piętnastego lipca 1944 Tato wrócił rano z Budy Stalowskiej i oznajmił, że Niemcy wycofali się już z Nowej Dęby i weszli Rosjanie. Było to dla nas zaskoczenie⁹⁶.

Okazało się, że w nocy Rosjanie przekroczyli San w okolicy Rozwadowa i, poruszając się lasami, zajęli Nową Dębę. Tym samym zagrozili odcięciem drogi odwrotu Niemcom, znajdującym się w Tarnobrzegu, w kierunku Dębicy. Około godziny dwunastej wjechał na Bukie rosyjski samochód ciężarowy z pięcioma żołnierzami i zamontowanym na skrzyni ciężkim karabinem maszynowym.

Zobaczyliśmy z oddali zbliżający się samochód i wszyscy weszliśmy do zabudowań. Ja znajdowałem się w tym czasie w stajni. Przez małe okienko obserwowałem. Samochód zatrzymał się przed obecnym domem Marysi Rębisz. Przez około dziesięć minut stał w miejscu,

⁹⁶ Jest to informacja nieścisła. Niemcy opuścili Dębę w dniu dwudziestego dziewiątego lipca 1944. Tego dnia miejscowa placówka Armii Krajowej uderzyła na Niemców, realizując plan „Burza”.

a żołnierze obserwowali. Upewniwszy się, że nie ma Niemców, odjechali. Za jakieś dwie godziny usłyszeliśmy silną strzelaninę od strony Cyganów. Tam Rosjanie atakowali i posuwali się polami w kierunku Tarnobrzegu. Był to okres żniw. Na polach stały w stosach snopki zboża. W niektórych miejscach zapalały się snopki od przelatujących pocisków. W tym dniu został zdobyty Tarnobrzeg. Niemcy wycofali się w kierunku Dębicy.

Została zajęta gorzelnia, która znajdowała się przy drodze do Sandomierza. Była tam również znana likiernia wódek dzikowskich. Żołnierze wynosili alkohol w naczyniach, jakie mieli przy sobie. Nawet w hełmach zdjętych z głowy na tę potrzebę. Fakt zajęcia gorzelni wpłynął na obniżenie morale i siły bojowej żołnierzy.

W dniu następnym Niemcy odbili miasto, odsuwając Rosjan na linię wiosek Stale-Jeziórko⁹⁷. Rosjanie utrzymywali się głównie przy ścianie lasu jak Siedlisko-Jeziórko. Tam przebiegała linia frontu. Bukie i okoliczne lasy w kierunku Stalów zaroily się od wojska. Na Bukiem, w ogrodzie okopała się bateria artylerii (obecnie posesja Drągów).

⁹⁷ W dniu piątego sierpnia 1944 Armia Czerwona zajęła Tarnobrzeg.

Apropowizacja Rosjan

We wspomnianym ogrodzie było około sześćdziesięciu uli pszczoł hrabiego, którymi ja opiekowałem się. Nie zdając sobie sprawy z bezprawia wojny, poszedłem sprawdzić, czy nie przystępują do niszczenia pszczoł przy zabieraniu miodu. Mieli takie metody niszczenia — zapalali pęczek słomy i kładli na górze ramek lub wynosili do pobliskiego strumyka, takiego rowka, od strony Cyganów i wrzucali do wody. Ten sposób był dla nich korzystny, bo pszczoły topiły się w wodzie, a woszczyna nie topiła się i miód był bardziej dostępny.

Ja zacząłem prosić, krzyczeć, by nie niszczyli. Nie zdawałem sobie sprawy, że wszystkie wojny pozostawiają po sobie znaki niszczenia wszystkiego, co można zniszczyć. W końcu zaatakowali mnie, że jestem szpiegiem i chcę zdradzić pozycje artylerii. Postępowanie z ich strony było rygorystyczne — zatrzymali mnie na jakieś piętnaście minut, ale w końcu wypuścili, gdy zapewniłem, że tu mieszkam. Musiałem ustąpić.

Rano, gdy się obudziłem, poszedłem do ogrodu zobaczyć, co się tam dzieje. Na pierwszy rzut oka nie widziałem ani uli stojących, ani

żołnierzy. Działa stały osamotnione, a pszczoły żądliły okropnie. Żołnierze owinięli się swoimi pałatkami, chroniąc się przed pszczołami.

Wyszedłem z ogrodu, rozglądając się. Bukie było jednym obozem wojskowym, w którym działały różne jednostki indywidualnie, dokonując rabunku, gdzie się dało. „Co pańskie, to nasze” – tak się wyrażali.

Na Bukiem było około trzysta owiec na wypasie. Żołnierze zabierali je, wyprowadzali poza zabudowania, najczęściej w zboże. Tam zabijali i gotowali w swoich garnkach. Było to okropne, bo owca stanowiła porcję obiadową dla dwóch, trzech żołnierzy. Większość resztek, wraz ze skórą stanowiła odpad, psujący się i zaśmiecający teren.

Były na Bukiem również krowy na wypasie, te, które Niemcy zabierali ze wsi w ramach kontyngentu⁹⁸. Było ich około stu pięćdziesięciu sztuk. Krowy były wyprowadzane do lasu poza Bukie i tam stanowiły bazę dla racji żywnościowych.

⁹⁸ W okresie okupacji niemieckiej funkcjonował system kontyngentów, tj. obowiązkowych dostaw różnego rodzaju artykułów, w tym zboża, trzody chlewnej, bydła dla niemieckich władz okupacyjnych.

Ciekawe wojsko – żołnierzom nie towarzyszyła żadna kuchnia polowa. Taka pokazała się na Bukiem dopiero po tygodniu. Żołnierz musiał sam martwić się o zdobycie żywności. Widziałem, jak żołnierze szli z kurami przywieszonymi do pasa lub nieśli kury w woreczkach, na plecach. Przez okres tygodnia nie widziałem żadnej karetki, żadnego wozu sanitarnego.

Widziałem również taki obrazek – żołnierz z zabandażowaną głową i twarzą, z widocznymi tylko oczami i ustami, zapytał mnie o drogę do Berlina. Posługiwał się patykiem, pisząc na ziemi to pytanie o Berlin⁹⁹.

Jakiś żołnierz wjechał w łan owsa i zaczął je miejscami kosić. Stałałem mu na drodze, a on próbował mnie zranić. Zauważył to inny żołnierz i podszedł do mnie z boku. Tłumaczył mi, że jestem głupi, starając się ochraniać to zboże. Przekonywał, bym nie ryzykował życia i zdrowia, bo to zboże i tak zostanie zniszczone. Żołnierz mówił czysto po polsku. Tłumaczył mi, że taka jest rzeczywistość, do której należy się przystosować.

99 Żołnierzy Armii Czerwonej „mobilizowano” do walki, łudząc ich, że do Berlina pozostało bardzo blisko.

Inni żołnierze, którzy mówili po polsku, namawiali nas do zabierania pańskich krów i owiec do swoich stajni, bo one i tak wszystkie zostaną zabrane, a mogłyby powiększyć nasze gospodarstwa. Nie uważałem, żeby ktoś z Bukiego zabierał do siebie pańskie zwierzęta.

Pozostawienie gospodarstwa

Przez trzy dni strzelała artyleria. Pociski przelatywały nad dachami Bukiego. Leciały gdzieś dalej. Może na poligon. Mieliśmy pieska — spaniela, który nie mógł wytrzymać tego huku. Biegał od ściany do ściany i uderzał główką. Nie wytrzymał i pozostawił nas.

Atmosfera była coraz bardziej niepokojąca. Tata załadował na wóz wartościowsze przedmioty, pościel i wyjechał z mamą i moimi braćmi do lasu w okolicy Budy Stalowskiej. Tam wyprowadzili się i pozostali mieszkańcy Bukiego. Zostałem z Tatą na Bukiem, ale często sam, bo Tata utrzymywał łączność z rodziną.

Po tygodniu nadeszła krytyczna chwila. Była to środa wieczorem. Niemcy rozpoczęli tak silny ogień artylerii na stanowiska Rosjan w pobliskim lesie od strony Siedliska, że Rosjanie panicznie zaczęli

się wycofywać w kierunku Bukiego i Budy Stalowskiej. Szli nie tylko drogami, ale na przetaj, łąkami. Panikę wywołały pociski kolorowe. Budziły przerażenie. Byłem sam w domu.

Wyprowadziłem ze stajni sześć krów i starałem się je ratować. Pędziłem krowy łąką w kierunku Małka — sąsiada. Zamierzałem przeprowadzić je przez most — na drugą stronę drogi do tamtejszych lasów. Gdy dotarłem w pobliże drogi, przekonałem się, że jest to niemożliwe, bo cała powierzchnia drogi zajęta jest przez wycofujący się oddział rosyjski. Do tego Rosjanie próbowali chwytać krowy z łąki i ciągnęli je za rogi do drogi. Ja tłumaczyłem, że to są krowy moje a nie „pańskie”, co przekonało ich i odstąpili. Postanowiłem wrócić z krowami w okolice Bukiego.

W tym kierunku wycofywali się Rosjanie, przez łąki, ale nie było już takiego zagęszczenia, jak w pobliżu drogi. Zbliżałem się do Bukiego. W tym czasie jeszcze bardziej wzmocnił się ogień artylerii.

Nigdy w życiu nie odczuwałem tak potrzeby schronienia głowy w jakieś zagłębienie terenu. Opanował mnie strach. Czułem się tak, jakbym za chwilę miał dostać w plecy. Chwilami byłem już zupełnie

bezradny. Krowy odprowadziłem na nasze pole i dla zamaskowania wypuściłem w jeszcze nie skoszone żyto. Żołnierze zaczęli ukrywać się po rowach. Byłem przerażony. Nie wiedziałem co się dzieje z Rodziną.

Po jakimś czasie odnalazł mnie Tata. Szukał mnie długo. Bardzo ucieszył się, że mnie znalazł. Zastanawialiśmy się, co robić. Po jakiejś godzinie ogień artylerii został przerwany. Stopniowo uspokajało się wszystko. Żołnierze wycofywali się już spokojnie, a my popędziliśmy krowy z pola na Bukie.

Takie gwałtowne uderzenie Niemców otworzyło im drogę odwrotu w kierunku Mielca. To im się udało¹⁰⁰. Front przesunął się znacznie i na Bukiem zaczęła stabilizować się sytuacja. Mieliśmy w dalszym ciągu towarzystwo Rosjan, ale to były już oddziały zorganizowane, wchodzące w skład jednostki pancernej, która zajęła miejsce w lasach od strony Siedliska i Stalów. Tam pozostawała do czasu rozpoczęcia ofensywy styczniowej¹⁰¹.

¹⁰⁰ Niejasny fragment. Niemcy usiłowali wykonać kontruderzenie z okolic Mielca i wypchnąć Rosjan z rejonu wiedeń Wistły i Sanu, ale takie kontruderzenie zostało zatrzymane przez Sowietów.

¹⁰¹ Był to rejon koncentracji jednostek wchodzących w skład I Frontu Ukraińskiego, którego celem było uchwycenie przyczółku baranowsko-sandomierskiego. Sowiecka ofensywa ruszyła w styczniu 1945. Piętnastego stycznia 1945 Sowieci zajęli Kielce.

Na Bukiem panował jeszcze chaos. Nadal wszędzie była broń i amunicja. Amunicja do karabinów automatycznych — „pepesz”¹⁰² — składowana była w stosach, przyzmach, jak ziarno zboża. Rosjanie nie mieli zamiennych magazynków z amunicją. Pobierali ją luzem i sami ręcznie wtłaczali pod sprężynę.

Nie pamiętam, czym wtedy się kierowałem, ale i ja wygospodarowałem dla siebie karabin automatyczny z magazynkiem kolistym oraz zapas amunicji do niego. Wszystko lśniło czystością. Miałem problem z zabezpieczeniem (zakonserwowaniem) tej broni. Może dlatego zatrzymałem sobie tę broń, bo broń towarzyszyła mi przez cały czas okupacji.

Dwa pojemniki metalowe z taśmą do karabinu maszynowego zakopałem do ziemi na polu przed domem. Wyznaczyłem azymuty miejsca, ale po zaoraniu terenu nie odnalazłem ich, choć ziemię nakłuwiałem drutem w tym miejscu. Pepeszę, po ostrzelaniu jej w lesie cygańskim¹⁰³, wyniosłem do kępy lasu na stawach, ukryłem

¹⁰² PPSz-41 — radziecki pistolet maszynowy wprowadzony do użytku 1941, podstawowa broń żołnierzy Armii Czerwonej. Nowatorska konstrukcja owiana legendą. Nowatorstwo polegało na prostocie, która zapewniała dużą siłę ognia dla masowej armii przy niewielkim koszcie wytworzenia.

¹⁰³ Chodzi o las w okolicy miejscowości Cygany.

zabezpieczoną w okopach po pierwszej wojnie światowej. Jednak nie dostała się ponownie do moich rąk, zmieniła właściciela.

W tym czasie poznałem pewnego starszynę¹⁰⁴ (sierżanta), który zaprzyjaźnił się ze mną. Jemu zawdzięczam, że udostępnił mi wejście do zbrojowni, pożyczał mi swojego pistoletu, z którego tak opanowałem strzelanie, że ustrzeliłem chyba ostatnią żabę, jaka była w zbiorniku, w bajorze, przy stajni. Pewnego razu zabrał mnie wozem na stawy, skąd miał przywieźć ściótkę dla koni. Kiedy siedział na wozie, to wysunął mu się z kieszeni pistolet. Ten, który mi kiedyś wcześniej pożyczał. Był po alkoholu. Myślałem, że zapomni o pistolecie i będzie on mój. Niestety, na drugi dzień przyszedł i zażądał jego zwrotu.

¹⁰⁴ Stopień wojskowy w ZSRR, wysoki stopień podoficerski.

VII Okres do ofensywy styczniowej 1945

Oficer w granatowym mundurze

Pewnego razu zgłosił się do nas rosyjski oficer w granatowym mundurze z czerwonymi wypustkami¹⁰⁵. Adiutant oficera trzymał w ręku jego walizkę — kuferek drewniany. Zapytał Mamę czy może u nas zamieszkać. Mama wyraziła zgodę, oddaliśmy pokój. Dla siebie zatrzymaliśmy kuchnię z jednym łóżkiem i miejsca do spania na strychu. Zachowywał się bardzo taktownie, kulturalnie, był prawdopodobnie Kirgizem. Był tak uładny, że jak jego adiutant, przenosząc kuferek, odbił kawałek otynkowania pieca — przyszedł do Mamy i bardzo długo przeproszał. A w dniu następnym przyniósł Mamie jakiś upominek.

Z oficerem układało się nam dobrze. Pewnego razu, kiedy ja handlowałem bimbrem z żołnierzami w kuchni — on otworzył drzwi do pokoju, co wywołało popłoch wśród żołnierzy. Wszyscy nagle opuścili kuchnię. To nas zaskoczyło. To musi być ktoś, kogo boją się żołnierze. W miesiącu wrześniu miały miejsce masowe aresztowania Polaków z podziemia Armii Krajowej. Aresztowani byli wywożeni w nieznane

¹⁰⁵ Taki nietypowy mundur mógłby wskazywać na oficera z pułku kozaków kaukaskich.

miejsca, a jeżeli ktoś wracał, to najwcześniej po dwóch latach.

Czasy były okropne, gorzej niż w okresie okupacji niemieckiej. Wówczas wiadomo było kto przeciw komu występował. Obecnie Polak występował przeciw Polakowi. Wystarczyło nawet pomówienie i osoba zniknęła na całe lata. Do współpracy z Urzędem Bezpieczeństwa¹⁰⁶ przystępowali w pierwszej kolejności ci, którzy mieli problemy z prawem. Teraz mieli możliwość stanąć na przeciwległym biegunie — oni, kiedyś karani, teraz sami karali, bili i uciskali.

Próby aresztowania Taty

Tak się złożyło, że na Tatę złożył doniesienie człowiek, któremu Tato zabrał sieć rybacką, gdy ten przyszedł w nocy kraść ryby ze stawu. Teraz miał okazję zemścić się i złożył doniesienie do UB. Przyszli po Tatę. Mama szybko zawiadomiła naszego oficera. Ten wyszedł do nich na podwórko, wysłuchał ich, powiedział w skrócie, że on tu rządzi i orientuje się w terenie.

¹⁰⁶ Organ komunistycznego aparatu represji, potocznie zwany ubecją. W Tarnobrzegu znajdował się Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego (PUBP Tarnobrzeg). Bezpieką kierowało Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego (MBP).

Nie skończyło się na tym. Przyszli ponownie. Mnie w tym czasie nie było w domu. Mama ich przetrzymywała, tłumacząc swoje racje. Tymczasem brat Władek siadł na konia i pojechał do Cyganów, by odnaleźć oficera, który jeździ na białym koniu. Tak pouczył Mamę ten nasz oficer na wypadek, gdyby ktoś chciał aresztować Tatę. Ludzie wskazali bratu szukanego oficera. Władek powiedział krótko, z czym przyjechał. Nie było czasu na wyjaśnienia. Oficer pogalopował na Bukie, na swoim białym koniu, a brat za nim.

Ci z UB już zabrali Tatę, wyprowadzili z domu, więc oficer pogalopował za nimi na drogę do sąsiada – Małka (około pół kilometra od domu). Tatę uwolnił, a funkcjonariuszom UB zwrócił uwagę, by się więcej na tym terenie nie pokazywali. Tak postąpił oficer na białym koniu, który był postrachem okolicy. Aresztował wielu Polaków, ale w naszym przypadku tak się zachował¹⁰⁷.

W tym okresie aresztowania prowadził Urząd Bezpieczeństwa, ale przede wszystkim Rosjanie, którzy zatrzymanych przetrzymywali w ziemiankach, jakie były w lesie, przy jednostkach wojskowych. W ziemiankach były trudne warunki. Aresztowani często mieli nogi w wodzie.

¹⁰⁷ Najpewniej chodzi tu o funkcjonariusza NKWD, czyli Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych ZSRR, który obejmował w tym czasie cały aparat represji policyjnych.

W styczniu 1945 roku oddziały rosyjskie opuściły te tereny, ale jeszcze mieliśmy z nimi przejścia, kiedy wracali z Zachodu po zakończeniu wojny w okresie żniw w 1945 roku.

Zostałem uznany za szpiega

W 1945 r., w okresie żniw, zauważyliśmy zbliżający się od Budy Stalowskiej wóz, zaprzężony w dwa konie. Przy wozie szło trzech żołnierzy, a do wozu uwiązana była krowa. Dziwne to dla nas było, bo dwóch żołnierzy szło przed końmi. Ciągnęli konie za uprzęż.

Obserwowaliśmy ich z odległości około trzystu metrów i zauważyliśmy, że dwóch z nich odchodzi od wozu i kieruje się do nas. Ja krzyknąłem do mojego brata: „Władek, bierz konie i uciekaj”. Szybko wyprzągnął konie od kosiarki, wsiadł na konia i galopem skierował się do lasu, w kierunku Cyganów. Mama i ja weszliśmy do domu. Wiedzieliśmy, co się może wydarzyć, bo znane były wypadki zabierania koni, zabierania mężczyzn, gwałty na kobietach. Jeśli zabierali mężczyzn, to ci nie wracali już do domu. Mama bała się o mnie, a ja o Mamę.

Później dowiedzieliśmy się, że po przyjeździe na Bukie, zajęli się córką

sąsiadów, która ukryta była w piwnicy¹⁰⁸. Uległem naciskom Mamy i ukryłem się blisko mieszkania, w ogródku, tuż przy ogrodzeniu, które było wykonane z wierzbowej wikliny. Przez szczeliny obserwowałem ich, gdy rozmawiali z Mamą.

Kiedy już zbierali się do odejścia, jeden z nich zatrzymał się przy mnie, z drugiej strony ogrodzenia. Jeszcze rozmawiał z Mamą. Ja przez szpary ściągnąłem go wzrokiem – podszedł do ogrodzenia, zauważył mnie i krzyczał: „ręce do góry” (po rosyjsku: „ruki wwierch”). Wyszedłem z ogródka.

Zażądali dokumentów ode mnie. Wśród innych dokumentów znalazło się w portfelu zaświadczenie wydane przez Instytut Ichtiologii w Krakowie potwierdzające ukończenie kursu w zakresie hodowli ryb według programu nauczania Szkoły Rolniczej w Czernichowie, której byłem uczniem. Zaświadczenie było wystawione w języku polskim i niemieckim i opatrzone pieczęcią niemiecką, ogólnie znaną. Nazywaliśmy ją wroną niemiecką. Nie znali pisma, nie znali treści, ale „wronę niemiecką” zapamiętali. Uznali mnie za szpiega niemieckiego.

¹⁰⁸ Po wejściu Armii Czerwonej na ziemię polskie, jej żołnierze dopuścili się masowych zbrodni na miejscowej ludności. Dochodziło do mordów, aresztowań oraz przestępstw o charakterze seksualnym.

Mamę wprowadzili do domu. Mnie wprowadzili do drewnutni i zaczęli mnie bić. Bili silnie, w tym po twarzy. Następnie polecili mi ściągnąć buty i iść przed nimi w pole. Mama w tym czasie wyszła z mieszkania i zaczęła bardzo płakać: „Panowie, gdzie go prowadzicie?!”. Rosjanie szli za mną i głośno między sobą rozmawiali. Kłócili się. Po pewnym czasie ich głos był coraz cichszy, bo ja szedłem, a oni się zatrzymali. Obejrzałem się i także się zatrzymałem. Obserwowałem, że jeden starał się wytłumaczyć coś drugiemu.

Zdawałem sobie sprawę, że wyprowadzanie kogoś po uprzednim ściągnięciu obuwia łączy się z zamiarem rozstrzelania. Przeżywałem to mocno i jeszcze nigdy nie odczuwałem tak dreszczy przed możliwym strzałem w plecy. Przy tym, to wszystko mieszało się z płaczem Mamy, bo byliśmy oddaleni ledwie o około osiemdziesiąt metrów od mieszkania, więc było ją słychać. Przyznam, że bardziej niż Niemców, obawiałem się tych ze Wschodu, bo u nich życie nie było tak cenne.

Wszystko jednak skończyło się szczęśliwie. Można to sobie wytłumaczyć tym, że może jeden z nich miał w pamięci swoją matkę, a może przeszedł w życiu podobną sytuację. W każdym razie przekonał drugiego, by puścić mnie wolno.

Broniłem swojego roweru

Na święta wielkanocne w 1945 przyjechałem do Rodziców na Bukie. Mama namawiała mnie, bym służył do mszy świętej w kościele w Stalach. Wiedziałem, że Mama marzyła, bym został księdzem. Dlatego też się zgodziłem. Wyjechaliśmy. Mama wozem z Małkami (sąsiadami) a ja rowerem. Utrzymywałem odległość od wozu około stu metrów.

Kiedy dojechaliśmy do mostu w lesie i skręciliśmy w prawo, to zauważyłem, że równoległe do drogi, w odległości dwudziestu metrów, idzie w moim kierunku jakiś mężczyzna z karabinem. Ubrany był w mundur wojskowy. Kiedy mnie zauważył, to strzelił w powietrze i wezwał mnie do zatrzymania się.

Stałem na drodze. Ramę roweru ścisnąłem nogami. Zażądał oddania roweru, po czym wystrzelił mi pod nogi, metr przede mną, aż prysnął piasek z jezdni. Nadal odmawiałem oddania roweru. Zauważyłem, że jest po alkoholu. Gdy celował, lufa karabinu chwiała się na różne strony. To mnie niepokoiło. Może mnie trafić w nogę przypadkowo. Zaczął się ze mną siłować. Przy tej okazji wysmarował

mój płaszcz krwią ze skaleczonej ręki.

W pewnej chwili odsunął się ode mnie i zaczął przymerzać się do następnego strzału. Mierzył chwiejnie i to nadal mnie niepokoiło. Oddał następny strzał, a ja odczułem ciepło na nodze w okolicy kostki. Krzyknąłem, że zranił mnie w nogę. Jakby był tym zaskoczony. Nachyliliśmy się nad nogą. Okazało się, że pocisk przeleciał tuż obok mojej nogi i wyrwał dziurę w spodniach do miejsca, gdzie spina się spodnie przy jeździe rowerem. Tego się nie spodziewał. Odstąpił i poszedł w las.

Ja dojechałem do wozu, a Mama, gdy zobaczyła mnie w zakrwawionym płaszczu, zaczęła płakać. Ja jednak dotrzymałem danego słowa i służyłem do mszy świętej, po zakończeniu której ksiądz proboszcz zaprosił mnie na śniadanie świąteczne, wielkanocne.

W Stalach dowiedzieliśmy się, że rano we wsi miał miejsce napad. Wybili szybę w oknie i wynieśli alkohol oraz kietbasę. Jeden ze sprawców pokrwawił sobie rękę. Domyśliłem się, że to ten, który próbował odebrać mi rower. Zgłosiłem to na milicji.

Miałem również takie inne zdarzenie z rowerem. Jechałem do Nowej Dębie. Kiedy mijalem kolumnę wojska, to wybiegł z niej żołnierz i siłą chciał mi odebrać rower. Szamotaliśmy się. Dobiegł ich oficer i przepędził amatora roweru. Takie to były czasy. Pełne niebezpieczeństw i rabunków.

VIII Liceum w Tarnobrzegu

Znowu w szkole

Naukę w liceum rozpocząłem w roku szkolnym 1944/45 w klasie o profilu matematyczno-fizycznym. Było nas siedemnaście osób. Równocześnie w klasie o profilu humanistycznym naukę rozpoczął wujek Sar. Dziwny był to okres, a szczególnie pierwsze dni. Na ogół znaliśmy się z okresu okupacji. Były rozmowy, wspomnienia. Okazało się, że przeważająca część nas brała aktywny udział w podziemiu. Byliśmy o cztery lata starsi, bardziej dojrzały, doświadczeni życiowo.

Zamieszkałem u dyrektora browaru. Dyrektor sam to zaproponował Rodzicom, jako taki częściowy rewanż za udostępnienie mieszkania na Bukiem dla żony i dzieci. Odstąpiliśmy wówczas jedyny posiadany pokój. Sami spaliśmy na strychu.

W tym czasie młodzieży, która miała opóźnienie w nauce, zezwolono, by dwuletnie liceum ukończyła w jednym roku szkolnym. Mieliśmy cztery lata opóźnienia, odczuwaliśmy głód nauki. Na świadectwie dojrzałości otrzymałem oceny bardzo dobre. Miałem tę przewagę

w nauce nad innymi, że w czasie okupacji ukończyłem liceum rolnicze. Miałem opanowane nauki przyrodnicze (biologia, botanika oraz chemia, którą miałem w paluszkach).

Miałem zdarzenie związane ze znajomością chemii. Uczyła chemii taka pani profesor, może dziesięć lat starsza ode mnie. Pewnego razu wyprowadzała jakiś wzór na tablicy a ja, zapatrzoną gdzieś, wyglądający przez okno, nie myślałem o chemii. Kiedy zwróciłem uwagę na tablicę, to wyrwało mi się głośno: „jest źle”. To zaskoczyło nie tylko nauczycielkę, ale i mnie, że mogłem się tak zachować. Pani przyjęła to normalnie i prosiła, by wskazać, gdzie jest błąd. Poprawiła, dziękując.

Później zauważyłem, że często pytała mnie, czy jest dobrze. Pamiętam, że po lekcjach rozmawiała ze mną o tym, gdzie uczyłem się chemii. Opowiedziałem o mojej edukacji w okresie okupacji niemieckiej.

W czasie dalszego okresu nauczania darzyła mnie sympatią, wyróżniała, a potwierdzeniem tego może być taki fakt, że w czasie balu maturalnego podeszła pierwsza do mnie i poprosiła do tanga.

W czasie tańczenia pouczała mnie, korygowała błędy. Naukę tańca pobrałem od koleżanek w ramach przygotowania do balu. Przykro mi było, gdy po trzech latach dowiedziałem się o jej śmierci.

W czasie naszego balu maturalnego dobijali się do budynku funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Walili w drzwi. Wiedzieliśmy, że wśród nas są koledzy zza Wisły, którzy mogli być poszukiwani przez UB. Dyrektor¹⁰⁹ wyszedł do funkcjonariuszy, nie otwierał, tylko zakomunikował, że na bal mamy zezwolenie.

Napad rabunkowy na mieszkanie dyrektora browaru

W okresie nauki w liceum mieszałem u dyrektora browaru, ucząc równocześnie jego syna. Przyjemnie układało się domu. Gospodarze często wyjeżdżali do Krakowa. Na te okresy ich nieobecności wartościowsze przedmioty, jakie mieli już złożone w walizkach, wynosiliśmy dla zabezpieczenia do sióstr zakonnych mieszkających w sąsiedztwie. Mieliśmy z nimi takie stosunki, że przechodziliśmy nawet przez dziurę w płocie.

¹⁰⁹ Dyrektorem szkoły (Państwowe Liceum i Gimnazjum Koedukacyjne w Tarnobrzegu) był Stanisław Walczyna, a następnie Roman Janicki.

Tak się jednak zdarzyło, że zachorowałem na grypę. Walizki nie zostały wyniesione. Złodzieje jakby się o tym dowiedzieli¹¹⁰. Wykonali napad wczesnym wieczorem. Weszli do domu. Zebrali wszystkich lokatorów w kuchni. Tam skłonili do położenia się na podłodze, formując figurę gwiazdy – głowami do środka, nogami do ścian. Była tam matka gospodyni, dzieci i panie z kuchni – razem siedem osób. Mnie przyprowadzili ostatniego.

Wchodząc do kuchni, ściągnął mnie wzrokiem młody mężczyzna uzbrojony w automat (pepeszę). Tego mężczyznę znałem, ale nie mogłem zaszufładować. Byłem tym przerażony, bo identyczny wypadek miał miejsce koło Rozwadowa w miejscowości Wrzawy. Tam któryś z domowników, rozpoznawszy jednego z napastników, wypowiedział słowa „Władek, co ty robisz?”. Napastnicy zrozumieli, że zostali rozpoznani i dla ratowania siebie rozstrzelali całą rodzinę na podłodze.

Starłem się więcej nie kierować wzroku na złodzieja. Tak leżeliśmy na podłodze około pół godziny. W tym czasie napastnicy zaczęli terroryzować matkę żony dyrektora, staruszkę, którą trzykrotnie

¹¹⁰ W okresie okupacji i w okresie powojennym plagą były grupy bandyckie trudniące się działalnością przestępczą.

wyprowadzali na podwórko, na rozstrzelanie. Za każdym razem zmuszali ją do pożegnania się z wnuczką. Temu wszystkiemu towarzyszył płacz i głosy: „gdzie jest złoto? Mów, bo was wszystkich rozstrzelamy. Gdzie jest ukryte złoto?!”. Jednocześnie, pilnujący nas, napastnik kołatał zamkiem automatu.

Po upływie około godziny stojący na czatach zaczęli stukać do okien z zewnątrz. Dając sygnał dla tych, co byli w środku, że już czas kończyć akcję. Widocznie pojawiło się dla nich jakieś zagrożenie. Porozumiewali się przez okno i przestali się nami interesować. Rozpoczęli wynoszenie walizek, które mieliśmy zabezpieczyć, wynosząc z domu.

Oddział NSZ na Bukiem

Otrzymałem z Bukiego wiadomość, że Tata został aresztowany i przetrzymywany jest w więzieniu w Tarnobrzegu. Pojechałem do domu dowiedzieć się więcej o przyczynie aresztowania. Okazało się, że ma to związek z oddziałem partyzanckim Narodowych Sił Zbrojnych na Bukiem i zdarzeniem, które miało miejsce przed tygodniem.

Oddziałem dowodził por. Zapora¹¹¹. Oddział ten przemieścił się tu z terenów wschodnich (Zamość). Występował szczególnie przeciw partyzantce rosyjskiej i członkom Polskiej Partii Robotniczej. Miał dużą sprawność bojową i umundurowanie polskiego wojska. Liczył około stu żołnierzy. Posiadał mechaniczne środki transportu. Po opanowaniu wschodnich terenów przez regularne oddziały rosyjskie, wycofywał się na zachód. Droga wycofania prowadziła przez Bukie¹¹².

Uzyskali informacje, gdzie tu jest peperowiec¹¹³, którego należałoby materialnie zniszczyć i zakwaterować u niego na krótko żołnierzy. Ktoś, nie wiemy kto, wskazał moich Rodziców. Oddział, po zakwaterowaniu się u nas, zabił świnie i krowę na przygotowanie posiłku

¹¹¹ Był to pseudonim Hieronima Dekutowskiego (1918–1948). Nie był on jednak dowódcą Narodowych Sił Zbrojnych, ale oddziałów partyzanckich Armii Krajowej a także Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj i Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. Informacja, że dowodził oddziałem NSZ to być może pokłosie lokalnych interpretacji co do pochodzenia żołnierzy Dekutowskiego. Dla wielu, w tym dla funkcjonariuszy UB, pojawienie się tak dużej liczby partyzantów w omawianym rejonie było sporym zaskoczeniem, co powodowało powstawanie wielu lokalnych legend.

¹¹² Chodzi tu o wydarzenia z sierpnia–września 1946, kiedy z Lubelszczyzny na Rzeszowszczyznę wkroczyły trzy oddziały partyzanckie podległe Zrzeszeniu WiN, będące częścią zgrupowania pod dowództwem „cichociemnego” – majora Dekutowskiego. Po przekroczeniu Sanu kwaterowały one na terenie Puszczy Sandomierskiej, m.in. w miejscowości Bukie. W nieodległych Ostrowach Tuszowskich miała miejsce potyczka z Sowietami. Po pobycie na Podkarpaciu żołnierze Zapory powrócili na Lubelszczyznę.

¹¹³ Członek Polskiej Partii Robotniczej, czyli partii komunistycznej, przeciw której występowali partyzanci m.in. Zapory.

dla żołnierzy. Rodzice zostali zamknięci w drewnutni, a mieszkanie zostało splądrowane.

O miejscu przebywania tego oddziału dowiedział się miejscowy łącznik Armii Krajowej, który zapytał o całą sytuację dowódcę oddziału, porucznika Zaporę. Ten odpowiedział, że są na Bukiem u Jadacha i niszczą tego peperowca. Łącznik, zaskoczony, zwrócił się do dowódcy: „co wy robicie? To pomyłka”. Do dziś nie wiadomo kto podał nieprawdziwą informację, że Tato działał w Polskiej Partii Robotniczej.

Dowódca oddziału, porucznik Zapora przyszedł do Rodziców, przeprosił za pomyłkę, żołnierzom polecił opuścić mieszkanie a za świnię i krowę zobowiązał się dostarczyć w ciągu dwóch tygodni dwa konie. Po tygodniu nieznajomy mężczyzna przyprowadził konia. Koń był skaleczony, jakby wszedł na drut kolczasty. Miał otwartą ranę na boku, do podleczenia. Brat Władek zaopiekował się koniem. Po kilku dniach zaprzął go do wozu razem z naszą klaczą i wyjechał z Tatą do Tarnobrzegu. Już mieli wyjeżdżać z miasta, gdy nagle zostali otoczeni przez kilku funkcjonariuszy UB. Okazało się, że koń został rozpoznany przez właściciela. Tata został aresztowany, a Władek jednym koniem powrócił wozem na Bukie.

Zaczął się dochodzenie. Codziennie w porze obiadowej przychodziłem przed więzienie¹¹⁴. Oczekiwałem na jakiś kontakt, na zezwolenie przynoszenia obiadu. Zostałem zauważony przez strażników. Podszedł do mnie jeden z nich i zapytał, dlaczego codziennie przychodzę, kogo ja tu mam. Zauważył u mnie amerykański pas do spodni. Polecił mi go oddać. Zapytałem przy okazji czy mogę przynosić obiady. Na drugi dzień przyszedłem z obiadem, podałem. Po jakimś czasie oddali mi talerz. Ucieszyłem się, że Tata odczuje, iż pamiętamy o nim. Trwało to tak przez tydzień.

Spotkanie z tajemniczymi mężczyznami

Pewnego dnia podszedł do mnie młody człowiek. Miał około dwadzieścia pięć lat. Zapytał do kogo ja tu codziennie przychodzę, bo już od kilku dni mnie obserwuje. Odpowiedziałem, że oczekuję na wyjście Taty z więzienia, że jest już tam trzy tygodnie, że niepokoję się, bo słyszałem, jak więzienie jest przepętnione. Na to on zapytał, czy bardzo mi zależy na przyspieszeniu wyjścia Taty. Pytał dalej czy skoro mieszkam przy browarze, to wiem, czy można tam wypić piwo. „Tak, zapraszam” – odpowiedziałem. Na to on powiedział: „Wracaj do

¹¹⁴ Chodzi o areszt PUBP w Tarnobrzegu, zlokalizowany w sąsiedztwie klasztoru oo. dominikanów.

browaru, a ojciec za godzinę tam będzie”.

Opowiedziałem, co mnie spotkało. Wszyscy, jak i ja nie dowierzaliśmy, ale nie upłynęła godzina, jak zobaczyłem Tatę idącego do nas. Wrócił zarośnięty na twarzy, gdyż przez trzy tygodnie się nie golił. Po doprowadzeniu się do czystości, ogoleniu, Tata, szczęśliwy, udał się pieszo na Bukie.

Na drugi dzień gospościa powiadomiła mnie, że przyszło dwóch panów i pytają o mnie. Wyszedłem i poznałem, że jeden z nich to ten, z którym się kontaktowałem. Zaprosiłem do zajmowanego przeze mnie pokoju. Wcześniej uzgodniłem to z gospodarzem, czyli z dyrektorem. Wypili piwo i umówili się ze mną na dzień następny.

Chodziliśmy na spacer po mieście, do lasu nad Wisłę. Codziennie było piwo. Moje nowe towarzystwo wzbudzało zainteresowanie wśród moich przyjaciół. Pytali prosto: „Co to za typy, z którymi chodzisz?”. „Znajomi” — odpowiadałem.

Po kilku dniach spacerowania, zaprosili mnie do swojego mieszkania. Znajdowało się ono w kamienicy na piętrze, w pobliżu pomnika

Bartosza Głowackiego. Wejście do mieszkania i to, co tam zobaczyłem — zmroziło mnie. Zajmowali dwa pokoje. W jednym był magazyn broni i części zamiennych. Wszystko to było rozłożone na podłodze. Przechodząc przez ten pokój — zbrojownię, zatrzymaliśmy się na chwilę, a jeden z nich zapytał mnie czy nie mam przypadkiem magazynku do pistoletu — i tu wymienił jego markę. Szybko zaprzeczyłem i przeszliśmy do pokoju mieszkalnego.

Usiedliśmy przy herbatce a jeden z nich zapytał o mojego Tatę — jak się czuje, czy jestem zadowolony z jego zwolnienia, bo oni przyjechali do Tarnobrzegu, by rozładować więzienie, wypuścić do domu wybranych. Przyjechali z taką tajną misją. Delegowani są tu przez komendanta AK z tego rejonu. Podobne zadanie wykonywali już dla rejonu Niska i Przeworska¹¹⁵. Rozeszliśmy się na zawsze, a spotkanie porosło tajemnicą dla nich i dla mnie. Nie przekazywałem nikomu moich spostrzeżeń. Natrafiłem jednak na ślad w prasie podziemnej, jaka jeszcze w tym czasie wychodziła, że taka misja miała miejsce. Zapamiętałem, że w zmianie tej wymienione były wskazane przez nich miasta.

¹¹⁵ Nieścisła informacja. Czwartego listopada 1944 roku żołnierz podziemia, Kazimierz Bogacz (1914–2015) w pojedynkę dokonał rozbicia więzienia UB w Tarnobrzegu i uwolnienia swoich piętnastu podkomendnych.

IX Wyższe studia w Krakowie

Świadectwo dojrzałości – matura

Uzyskałem maturę szesnastego czerwca 1945 roku. Na dwanaście ocen tylko cztery oceny ze stopniem dobry, pozostałe z oceną bardzo dobry.

Zastanawiałem się jaki kierunek studiów wybrać. Rodzice widzieli tylko leśnictwo, bo wśród leśników wszyscy się obracaliśmy. Ja rozważałem, czy może medycyna, ale nie odpowiadał mi widok krwi. Zostałem więc przy leśnictwie. Zapisalem się na studia do Poznania. W drodze do Poznania, w Łodzi miałem przesiadkę. Przy wsiadaniu do pociągu, skradli mi dokumenty.

Później dowiedziałem się, że studia leśne zostaną też otwarte w Krakowie. Zainteresowałem się tym, bo z Krakowa było bliżej do domu. Zdecydowałem się na Kraków. Pojechałem zapisać się na pierwszy rok studiów.

Nie mogłem uzyskać miejsca w akademiku. Poszukiwałem jakiegoś

miejsca w domu prywatnym. Otrzymałem od kogoś informację i adres na Osiedlu Oficerskim. Trafiłem do gospodarzy pochodzących z okolic Mielca. To jakoś zbliżało mnie do nich. Zaoferowali mi do spania nyżę¹¹⁶ w kuchni. Zdecydowałem się, że uczyć się będę po świetlicach. Oni dysponowali tylko jednym pokojem i kuchnią. Mieli małą córkę, której miałem pomagać w nauce. Byli to ludzie prości, ale o dobrym sercu i życzliwi.

Zastanawiałem się jeszcze nad kierunkiem studiów. Szukałem rady i podpowiedzi innych osób. Nadal interesowała mnie medycyna — egzamin tylko z biologii i chemii a przecież te przedmioty miałem opanowane. W tamtym czasie była też taka możliwość, że można było studiować dwa kierunki równocześnie.

O pozostaniu ostatecznie przy leśnictwie zdecydowały następujące okoliczności. Po miesiącu jeden z kolegów poinformował mnie, że jest zarządzenie, informacja dziekanatu, że studenci, którzy ukończyli liceum rolne w Czernichowie mogą ubiegać się o dopuszczenie na drugi rok leśnictwa. Mogą bowiem uzyskać zaliczenie egzaminów złożonych tam przed profesorami Politechniki Lwowskiej. Inne

¹¹⁶ Tu: wnęka.

egzamin, czyli fizykę i matematykę należało zdać w ciągu roku akademickiego. Oczywiście skorzystałem z tych możliwości i tym samym znalazłem się na drugim roku studiów. Spotkało się nas tam trzydziestu pięciu słuchaczy, w tym dwie kobiety (jedna z nich była siostrą Lucjana Kydryńskiego). Tak mała grupa szybko się zgrała. Stawaliśmy się jakby jedną rodziną.

Mieliśmy bardzo dobrych wykładowców, również ze Lwowa. Profesorowie, którzy mieli już znaczny dorobek naukowy, nazwiska znane nauce. Między innymi profesorowie: Szafer¹¹⁷ – botanika, Chodzicki¹¹⁸ – hodowla lasu, Gieruszyński¹¹⁹ – dendrometria, Nunberg¹²⁰ – entomologia, Krawczyński¹²¹ – łowiectwo, Szymkiewicz¹²² – ekologia, klimatologia, i wielu innych cenionych.

Profesor Krawczyński prowadził tak interesujące wykłady, że

¹¹⁷ Władysław Szafer (1886–1970) – botanik, profesor UJ, dyrektor krakowskiego Ogrodu Botanicznego, rektor UJ (1936–1938).

¹¹⁸ Edward Józef Chodzicki (1897–1978) – leśnik, profesor zwyczajny UJ.

¹¹⁹ Tadeusz Gieruszyński (1903–1963) – dendrolog, profesor zwyczajny dendrometrii UJ.

¹²⁰ Marian Nunberg (1896–1986) – entomolog leśny i koleopterolog. Prof. dr hab. SGGW w Warszawie. Był wykształcony w Politechnice Lwowskiej. Słowniki biograficzne nie wspominają o jego związkach z UJ.

¹²¹ Wiesław Krawczyński (1884–1962) – inżynier leśnictwa, działacz łowiecki, wykładowca w Poznaniu, Lwowie, Krakowie. Autor popularnych książek, m.in. na temat łowiectwa.

¹²² Dezydery Szymkiewicz (1885–1948) – botanik, profesor UJ.

studenci z innych wydziałów przychodzili ich słuchać dla własnej przyjemności. Wykładowca posiadał tak bogatą wiedzę, tak piękny język, którym się posługiwał, że ściągął na swoje wykłady rzesze studentów. Czasem brakowało wystarczająco dużej sali, by wszyscy się pomieścili, więc trwały poszukiwania. On sam brał w nich udział, a studenci niemal w kolumnie podążali za nim.

Bardzo znaczącą postacią był dziekan Szymkiewicz. Pięknie, ciekawie prowadzone były wykłady, ale zaliczenie egzaminu stanowiło dużo wyzwanie. Były bardzo rzadkie przypadki zaliczenia egzaminu za pierwszym podejściem. Studenci praktykowali przychodzenie na egzaminy na widownię w celu osłuchania się z tematem. Ja również tak robiłem.

Razem ze mną, do egzaminu przystępowało około dwudziestu studentów. Chciałem jednocześnie zdać dwa egzaminy, z dwóch wykładów, które prowadził dziekan. Po zakończeniu egzaminu, który trwał prawie godzinę, profesor powiedział, że zdałem egzamin, ale tylko z jednego przedmiotu. Poinformował mnie, że z drugiego będzie poprawka. Poprosił o indeks i miałem szczęście, że pomylił się i wpisał mi zaliczenie przedmiotu, który powinienem poprawiać. Zauważył

pomyłkę, chwilę się zastanawiał, a następnie powiedział: „niech już tak będzie”. Udało się. Widownia przyjęła to życzliwie i z zazdrością. Po widowni przebiegł szmer zachwytu „ach, och”.

Profesor Nunberg rozpoczął jeden z wykładów od słowa: „jadach”. Zerwałem się na nogi, ale to nie było wywołanie mnie, ale nazwa chrząszcza, który nosił łacińską nazwę *Pityophagus ferrugineus*. Nie wiem, czy to z jego strony było zamierzone, czy też był to przypadek. Nazwa *Pityophagus ferrugineus* przywarła do mnie. Koledzy często mnie tak nazywali. Nawet na jubileusz pięćdziesięciolecia ukończenia studiów, jeden z kolegów mi to przypomniał. Może jakiś mój przodek znalazł tego owada po raz pierwszy i naukowo opisał? Może to był ktoś z Jadachów, kto nie był moim przodkiem?

Studia a polityka

Profesor Szymkiewicz nie tylko pełnił obowiązki dziekana, ale reprezentował sprawy środowiska akademickiego Krakowa przed rządem i władzami politycznymi. Rozpoczęcie przez już dorosłą młodzież studiów było przedmiotem zainteresowania ze strony UB¹²³. Była

¹²³ Urząd Bezpieczeństwa – określenie na niewojсковy aparat bezpieczeństwa Polski w latach 1944–1956.

to bowiem możliwość wytąpywania tych, których niełatwo było im znaleźć w terenie. Często miały miejsce aresztowania w akademiach, a nawet w obiektach uczelni. Zdarzyło się, że UB dokonało aresztowania kilku studentów.

Profesor ogłosił zebranie studentów w sali kina Wanda i poprosił UB, by uczestniczyło w spotkaniu. Ogłosił, że żaden ze studentów nie wyjdzie z tej sali, dopóki nie zostaną zwolnieni ich koledzy. Funkcjonariusze UB obecni na sali informowali, że aresztowani zostali zwolnieni. Profesor powiedział: spotkanie na godzinę przerywamy, sprawdzimy. Po sprawdzeniu okazało się, że informacja mija się z prawdą. Znowu czekanie. Ustąpili i młodzież opuściła salę.

Profesor reprezentował środowisko całej młodzieży studenckiej Krakowa, a szczególnie interesował go Wydział Leśny, którego był organizatorem. Władze na każdym kroku utrudniały mu rejestrację Wydziału. Wydział Leśny był przyłączany do różnych uczelni: od Politechniki do Wydziału Rolniczego Uniwersytetu Jagiellońskiego. W końcu powstał jako Wydział Rolniczo-Leśny Uniwersytetu.

Aresztowania przez UB w dalszym ciągu miały miejsce. Wystar-

czyło przejść chodnikiem obok UB przy placu Inwalidów¹²⁴, a z okien i piwnic słychać było odgłosy bicia i jęki. Przechodziłem i słyszałem przerażające wycie z bólu. Zatrzymałem się na chwilę, ale nie dało się tych jęków słuchać. Zatrzymywali się i inni przechodnie. A na ich twarzach ten sam obraz się malował.

Po pewnym czasie budynek został odgradzony od ulicy wysokim parkanem. Strażnik nie pozwalał się zbliżyć do niego, bo w innych częściach miasta zdarzały się przypadki ataków na miejsca przetrzymywania aresztowanych. Takie znane rozbitcie miejsca przetrzymywania było przy ulicy Grodzkiej, od strony Plant. Tam, po uszkodzeniu muru, uwolniono więźniów o dużej wadze politycznej.

Warunki bytowania w czasie studiów

W miejscu, gdzie mieszkałem, sam przygotowywałem sobie śniadania. Nie używałem cukru. Tłumaczyłem się, że jestem chory na cukrzycę, co nie było prawdą. Obiady spożywałem na mieście, zwykle w stołówkach akademickich. Zwiedzałem wszystkie, by sprawdzić, jakie były tam warunki, jakie ceny posiłków. Najgorsze

¹²⁴ Pod adresem Plac Inwalidów 3 mieścił się w latach 1945–1956 Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego.

warunki spotkałem w Akademii Górniczej. Tam należało najpierw czekać w kolejce i patrzeć, kiedy zwolni się talerz przy stole. Zabranym talerz z łyżką należało umyć w bieżącej wodzie i następnie podejść do okienka, gdzie nalewali zupy, gdyż w początkowym czasie tylko zupy wydawały stołówki. Z tego, co pamiętam, to najgorsze zupy były u sióstr felicjanek.

Początki studiów były bardzo trudne. Poziom stołówek był bardzo ubogi, wprost prymitywny. Do tego brak książek, podręczników, papieru do pisania, braki w odzieży. Rodzice nie zabezpieczali mnie finansowo na skalę potrzebnego minimum.

W późniejszym okresie sytuacja zmieniła się dla mnie na korzyść. Poznałem koleżankę Irenkę, z Tarnobrzegu. Pracowała jako kasjerka w stołówce akademickiej. Wspomagała mnie. Mogłem dzięki niej korzystać z obiadów dla pracowników. Z czasem sam zastępowałem ją przy kasie.

Kiedyś, podczas zastępowania Irenki, zauważyłem, że jakaś pani stojąca w kolejce, przyglądała mi się. Choć przyszła z zamiarem wykupienia obiadu, to nagle odeszła z kolejki. Byłem pewny, że znam

tę kobietę, choć nie potrafiłem jej zaszufladkować. W domu rozmyślałem i przypomniałem sobie ją. Była kiedyś żoną szefa mojego Taty i mieszkała na Bukiem. Oni po jakimś czasie rozeszli się. Ona pozostawiła mężowi uroczą dziewczynkę. Po wielu latach, po zakończeniu studiów, spotkałem w Lublinie tę jej córkę. Jak to w życiu — drogi czasem się krzyżują.

Staszek, mój najbliższy kolega

Ze Staszkiem zaprzyjaźniłem się od razu, jak tylko go poznałem. Odpowiadaliśmy sobie z charakteru, mieliśmy wspólne zainteresowania. Doradzał mi w wielu sprawach życiowych, jak i w sprawach ogólnoludzkich. Pochodził z okolic Wadowic. Razem staraliśmy się pojechać na praktyki wakacyjne. Poznałem jego rodzinę, ale szczególnie utkwiło mi w pamięci spotkanie z jego bratem.

Pewnego razu wybrałem się do teatru z moją koleżanką Ireną. Była polonistką i często korzystałem z jej propozycji wyjścia do teatru. Korzystałem, bo teatr był dotychczas dla mnie obcy. Przed teatrem chciałem odwiedzić Staszka, miałem jakąś sprawę do niego. Irenkę zostawiłem na ulicy przed domem. Miało to trwać kilka minut.

Wszedłem do mieszkania Staszka i spotkałem tam, poza nim jego brata i jakieś jeszcze dwie osoby. Towarzystwo było w atmosferze alkoholowej. Szybko zostałem poinformowany z jakiej okazji napętniane są musztardówki. Świątowane było urodzenie nieślubnego syna brata Staszka. Spóźniłem się, więc muszę nadrobić. Tak byłem zachęcony, że wypilem dwie musztardówki jedna po drugiej.

Nie pomogły moje tłumaczenia, że pozostawiłem na ulicy koleżankę. Brat Staszka wysunął nowe argumenty, że musi napić się ze mną, że takiej okazji nie przepuści. Nie może nie napić się wódki z przyjacielem brata, bo z opowiadań Staszka tyle dobrego słyszał o mnie, więc muszę wypić za zdrowie jego syna i za zdrowie Staszka. I znowu nowa musztardówka.

Nigdy nie praktykowałem takiego tempa w piciu alkoholu. Napętniona została kolejna musztardówka, ale cały czas myślałem o tym, że zostawiłem na ulicy koleżankę, że mamy bilety do teatru. Dlatego też, nie przedłużając, wstałem z zamiarem oderwania się od stołu i wyjścia na ulicę. Proszę mi wierzyć, że przez całe moje życie nie doznałem takich odczuć po alkoholu. Zupełnie świadomie je odbierałem.

Schodząc ze schodów, odczuwałem wyraźnie, że te drewniane schody, jakby ugiwały się pod nogami. Zastanawiałem się, jak to się dzieje, jak to jest możliwe. Wyszedłem na ulicę, zobaczyłem z daleka Irenkę, która jakoś dziwnie się uśmiechała. Szedłem w jej kierunku, a chodnik uciekał mi raz na lewą stronę, raz na prawą. Wściekłem się. Ani na moment nie pomyślałem, że to nie chodnik, ale ja balansuję. Irenka oceniła sytuację w prostych słowach: „Teatr już mamy. Chodźmy, wracamy do domu”.

Spotkałem Staszka po studiach w Krakowie. Byłem razem z Waszą Mamą. Poznaliśmy jego żonę i syna Kubę. Dowiedzieliśmy się od niego, że ma pewne kłopoty z UB. Był nawet aresztowany. Po jakimś czasie dowiedziałem się o jego nieuleczalnej chorobie. Na spotkanie jubileuszowe już nie przyjechał.

Szkolne lasy doświadczalne Uniwersytetu Jagiellońskiego

Uczelnia — a konkretnie Wydział Leśny administrował obszarami leśnymi, które uznawane były jako doświadczalne lasy szkolne.

Znajdowały się w dwóch miejscach, różniących się klimatem i to-

pografią. Pierwsza ich część była około dwudziestu kilometrów na zachód od Krakowa. Był to las nizinny. Druga, powierzchniowo większa część znajdowała się u podnóża Babiej Góry. Dojeżdżaliśmy tam samochodem na zajęcia praktyczne z zakresu prowadzenia gospodarstwa leśnego, geodezji i prac pomiarowych.

Pewnego razu o mało nie doszło do poważnego wypadku. To było w nocy, wczesną wiosną. Nagle odczuliśmy gwałtowne hamowanie samochodu. Okazało się, że tylko dzięki bystrości kierowcy uniknęliśmy wypadku. Zatrzymaliśmy się tuż nad brzegiem głębokiego potoku. Jesienią był tu most. Na wiosnę zerwała go woda.

W ramach prac geodezyjnych wykonywaliśmy projekty dróg, kolejek leśnych. Każdy z nas otrzymywał na mapie terenu oznaczony punkt początkowy i końcowy trasy. Posługując się oznaczonymi na mapie poziomiami należało drogę zaprojektować tak, by bilans ruchu ziemi był zerowy. W ten sposób uwzględniano specyfikę terenów górzystych, na których utrudnione jest przemieszczanie ziemi.

Zasady, obowiązujące przy projektowaniu trasy związane były z uwzględnieniem norm dotyczących spadków, proflowania zakrę-

tów, bilansowania kubatury ziemi przy planowaniu murów podporowych i oporowych. Mnie przypadł projekt trasy kolejki. Taki projekt trasy kolejki lub drogi był bardzo pracochłonny. Potrzebny był miesiąc na jego wykonanie.

Praktyki wakacyjne

Staraliśmy się ze Staszkiem, by na praktyki jechać razem. Dostaliśmy się na praktyki w Ustroniu Górskim. Z tą różnicą, że ja trafiłem do nadleśnictwa, a Staszek do tartaku. Staszek odkrył stosy papierów, makulatury po korespondencji biurowej. Kartki papieru były zapisane tylko z jednej strony. Drugą mogliśmy wykorzystać do robienia notatek z wykładów. Staszek podzielił się tymi kartkami ze mną. Te papiery zawieźliśmy do Krakowa. Starczyły nam na długi czas.

Odbываяc praktykę, poznałem piękne okolice, górę Równicę i górę Czantorię. Mieszkalem u typowego wąsatego leśniczego. Przypadliśmy sobie do gustu. Chętnie oprowadzał mnie po okolicy, opiekował się mną, bym z głodu nie zginął. Tam opanowałem strzelanie z wiatrówki. Lubił ze mną chodzić, dzieląc się ze mną spostrzeżeniami o historii tamtej ziemi.

Pewnego razu przypadł mi obowiązek pomocy przy pomiarze ściętego drewna w dłużycach tartacznych. Wyszliśmy z domu, a z nami wierny pies leśniczego, stary jamnik. Pies biegł przed nami, wyprzedzał nas o sto metrów. Zainteresowało mnie, dlaczego jamnik zatrzymał się i czekał na nas. Spytałem leśniczego. On odpowiedział: „A bo on wie, że tu jego pan wstąpi na piwo”. Tak przeszliśmy pieszo około cztery kilometry. Tę odległość jamnik podzielił na trzy etapy. Pamiętał, gdzie jego pan zatrzymuje się na piwo.

Praca zarobkowa w czasie studiów

Zwierzyłem się jednemu z kolegów, że poszukuję pracy zarobkowej. A ten poinformował mnie, że tam, gdzie on pracuje, poszukują studenta rolnictwa w celu prowadzenia lustracji plantacji buraka cukrowego i zbóż nasiennych. Zachęcił mnie do zgłoszenia się do tej firmy. Była to prywatna firma, produkująca elitę nasion. Praca niestety była na terenie kilku powiatów. Firma dawała rowery na dojazdy do plantatorów. Zgłosiłem się, przedstawiając swoje świadectwo. I tak się zaczęło.

Zleconą pracę wykonywałem w dogodne dla siebie dni, również

i w niedzielę. Dojeżdżałem pociągiem do danej stacji kolejowej z rowerem nadanym jako bagaż. Dalej po terenie powiatu dojeżdżałem do plantatorów, którzy zawarli kontrakt z firmą Burzyński i synowie.

Moim zadaniem było sporządzanie protokołu lustracyjnego wykazującego poziom agrarnych uprawy i jej stan. W przypadku buraków już zakopcowanych¹²⁵, określałem kubaturę kopców, co, przy ustalonym przeliczniku, pozwalało mi wyliczać wagę buraków. Na podstawie takich ustaleń plantator otrzymywał wynagrodzenie, najczęściej w cukrze. My, lustrujący plantację otrzymywaliśmy jednorazowo nawet dziesięć kilogramów tytułem premii.

Jakie było zdziwienie mojej gospodyni, kiedy weszła do kuchni i zobaczyła mnie z dużą łyżką, przy dużej torbie cukru. Zaskoczona powiedziała: „Pan nie może jeść tyle cukru, skoro pan jest chory”. Wówczas przyznałem się, że skłamałem, że mam cukrzycowy problem, bo nie chciałem narażać jej na częstowanie mnie cukrem. Gospodyni dałem pięć kilogramów cukru, drugie pozostawiłem dla siebie. Jaka to była radość gospodyni, bo zdobycie cukru nie było łatwe — obowiązywały kartki żywieniowe.

¹²⁵ Kopcowanie to sposób przechowywania warzyw (buraków, ziemniaków) w ziemi przez układanie ich w stosach i przykrywanie warstwą słomy oraz ziemi.

Inny sposób zarobkowania umożliwiła mi moja koleżanka Irena. Pracowała w stołówce akademickiej w charakterze kasjerki. Namówiła mnie do współpracy. Zastępowałem ją przy sprzedaży kartek na obiady. Zostałem objęty przywilejami personelu. Zapracowałem sobie na obiady, a to wiele dla mnie znaczyło.

Próba aresztowania plantatora

We wspomnianej firmie pracowałem bodajże przez okres trzech lat. Poruszałem się rowerem po powiatach: brzeskim, krakowskim, miechowskim, wadowickim i jędrzejowskim. Zdarzały się przypadki, że od stacji kolejowej do plantatorów jeździłem rowerem ponad trzydzieści kilometrów, jak dla przykładu z Brzeska do Uścia Solnego nad Wisłą — odległość około trzydziestu dwóch kilometrów. Poznawałem teren, poznawałem ludzi, najczęściej miłych, sympatycznych, mających do mnie zaufanie. Może nie we wszystkich wypadkach to się potwierdzało, ale jeden wspominam szczególnie.

Wyjechałem na teren powiatu miechowskiego. W godzinach popołudniowych dojechałem do gospodarstwa plantatora. Spotkałem gospodarzy na polu, przy domu. Byli ludźmi młodymi, około trzydziestu

lat. Wypełniałem swoje obowiązki, wynikające z lustracji plantacji. Zaprosili mnie do domu na herbatę. Był również poczęstunek. Przyznam, że w czasie mojego pobytu u plantatorów byłem przez nich dożywiany. Ogólnie utrzymywała się opinia, że studenci stanowili biedną młodzież i jak trafiło mi się okazyjne dożywianie, to przyjmowałem je z wdzięcznością. To było dla mnie wsparciem.

Zwróciłem się do gospodarzy z prośbą czy nie mogliby mnie przemocować. Następnego dnia pojechałbym w dalszą trasę. Uczynili to chętnie, przygotowali miejsce do spania. W nocy obudziło mnie jakieś dobijanie się do domu. U gospodarzy, śpiących w sąsiednim pomieszczeniu, słychać było poruszenie. Po chwili gospodyni przyszła do mnie i życzliwie mnie prosiła, bym nie mówił im, gdy wejdą do mieszkania, że jej mąż tu był. Poszła im otworzyć. Byli to ubowcy. Wywiad im doniósł, że przyjechał ktoś do nich, że gospodarze rozmawiali na polu z tym obcym. Gwałtownie weszli do mieszkania. Wrzeszcząc pytali: „gdzie jest mąż?”. Żona tłumaczyła, że go tu nie ma. Darli się: „a kto tu jest?”. Zaprowadziła ich do pokoju, gdzie spałem. Długo sprawdzali moje dokumenty — miałem delegację na wyjazd, miałem dowód osobisty, indeks.

Po jakimś czasie odeszli. Nastąpiła cisza. Nie rozmawialiśmy, bo w takich okolicznościach, czasem niespodziewanie wracali. Gospodarz, w czasie najścia UB, ukrył się w sianie na strychu. Przyszła do mnie gospodyni, uklękła przed moim tóżkiem, złożyła ręce jak do modlitwy, dziękując mi żarliwie za niezdradzenie jej męża. Dziękowała tak żarliwie, że niemal pocałowała mnie w rękę.

X Praca w szkolnictwie

Szkoła w Andrychowie

Zrażony już pracą w firmie nasiennej rozglądałem się za podjęciem pracy w innym charakterze. Jeden z moich kolegów poinformował mnie, że pracuje jako nauczyciel w szkole średniej w Andrychowie i wie, że poszukują tam nauczyciela fizyki. Namawiał mnie, zachęcał — będziemy razem dojeżdżać na trzy dni w tygodniu. Pojechałem z nim w celu poznania oferowanych warunków. Pani dyrektor szkoły przyjęła mnie zachęcająco, proponując mieszkanie przy rodzinie jednego z uczniów. Otrzymałem pokój z oddzielnym wejściem oraz zapewnione śniadanie przez gospodarzy — właścicieli pokoju.

Pani dyrektor prosiła tylko, bym postarał się o zezwolenie nauczania, jakie wydaje kuratorium w Krakowie. Zezwolenie takie otrzymałem na okres od pierwszego września 1948 do pierwszego sierpnia 1949. Miałem już rozpocząć pracę i okazało się, że pani dyrektor, do fizyki dołożyła mi inny przedmiot — rysunek techniczny. Ucieszyłem się, chociaż miałem wątpliwości, czy dam sobie radę, bo w takiej roli jeszcze nie występowałem.

Moja koleżanka Irena zwróciła mi uwagę, że pan nauczyciel nie może występować w starym ubraniu wojskowym z UNRRA¹²⁶. Zdobyliśmy gdzieś kartki¹²⁷ i kupiliśmy coś, co było w odcieniu brązowym.

Pierwsze kroki, pierwsza lekcja. Napięcie towarzyszy mi, towarzyszy też uczniom. Pierwszy wykład miałem w czwartej klasie gimnazjum. Usiadłem za katedrą i pierwszy pech — nie mogłem znaleźć długopisu, szukałem we wszystkich kieszeniach, w końcu znalazłem. Po zapisaniu tematu lekcji wstałem, przedstawiając się młodzieży z imienia i nazwiska. Następnie odczytałem z dziennika nazwiska uczniów i popatrzyłem na każdego.

Zapoznałem ich z moimi wymaganiami i porządkiem prowadzenia lekcji. Poinformowałem, że pierwsze piętnaście minut będzie przeznaczony na powtórkę, że każdy może być pytany z poprzedniej lekcji. Dalszy czas przeznaczony będzie na omówienie nowego tematu. Będą miały miejsce sprawdziany pisemne. Proponuję zawarcie między nami umowy, że przy sprawdzianach pisemnych nie będziemy

¹²⁶ UNRRA — amerykańska Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy, która zapewniła Polsce bezpośrednio po wojnie znaczną pomoc humanitarną, między innymi odzież.

¹²⁷ W latach 1944–1949 obowiązywał w Polsce system kartkowy — aby zakupić niektóre towary należało uzyskać pozwolenie na kupienie ich określonej ilości, tzw. kartkę.

posługiwać się żadnymi pomocami, ściągawkami. Powiedziałem, że będę pracę odbierał i oceniał ją negatywnie, w takim przypadku, gdy nie będzie ona samodzielna. Po przekazaniu takiej informacji zapytałem „zgoda?”, uczniowie odpowiedzieli „zgoda”.

Takie wprowadzenie miało podobny przebieg we wszystkich klasach. Także w klasach licealnych. Prosiłem o prowadzenie starannie zeszytów, gdyż brak podręczników utrudniał uczenie się, przyswajanie materiału. Zapis do zeszytu ja będę podawał jako streszczenie tematu lekcji.

Za kilka dni zapowiedziałem kartkówkę we wszystkich klasach, by zapoznać się z poziomem dotychczasowego nauczania. Na początku przypominałem o zawartej ze mną umowie. Ja chodziłem od czasu do czasu po klasie, ale zasadniczo stawałem za plecami uczniów, przy ścianie. W taki sposób miałem możliwość obserwowania, kto się za mną ogląda, kto się wierci i szuka pomocy.

Miałem zabawną historię na kartkówce w klasie licealnej. Była tam młodzież dorosta, niewiele młodsza ode mnie. Obserwowałem i byłem pewny, że jedna z uczennic posługuje się ściągawką. Podchodziłem

do niej po cichu, zza jej pleców. Nie zauważyłem ściągawki, ale moje zainteresowanie wzbudził amerykański długopis, który trzymała w ręce. Zapytałem, czy może mi go pokazać. Gdy podawała długopis, to wypadła złożona w ręce ściągawka. Uczennica trzymała ściągawkę w tej dłoni, którą trzymała długopis.

Zabranie ściągawki zauważyli uczniowie i zaczęli się śmiać. Zareagowałem i zwróciłem uwagę, że to jest lekcja i należy zająć się swoją pracą. Uczennica ten incydent przeżyła przykro. Fakt ten rozniósł się po szkole. Spotkało to dziewczynę bardzo ładną, ale zarozumiałą, dumną.

Sprawdziany oddawałem po ich ocenieniu, w kolejności od oceny najniższej do oceny najwyższej, bardzo dobrej. Z tym, że uczniów otrzymujących ocenę bardzo dobrą pytałem ustnie i dopiero oddawałem pracę. Pracę z uczniami ułożyłem sobie dobrze, nie zdarzyły się żadne incydenty, które obniżałyby mój autorytet. Odczuwałem, że byłem szanowany.

Popołudniami umawiałem się z chłopakami na siatkówkę na stadionie. Młodzież była przerośnięta, z powodu opóźnienie w nauce, spowodo-

wanego okupacją. Do uczniów zwracałem się przez pan/pani, na co pewnego dnia zwróciła mi uwagę pani dyrektor. Powiedziała mi, że z pracy mojej jest zadowolona, że docierają do niej pozytywne opinie – tak w odniesieniu do nauczania, jak i do obcowania z młodzieżą, choć jako jedyny zwracam się do uczniów przez pan/pani. Nie zaleciła mi jednak tego zmieniać.

Miałem stałą grupę do siatkówki. Przyszła mi myśl przepytania tej grupy na lekcji, bo obawiałem się uwag innych, że może faworyzuję chłopców-siatkarzy. Przy tym wypowiedziałem się w klasie tak: „chłopcy dobrze grają w siatkówkę, zobaczymy jak będą grali z fizyką. Spodziewam się, że będzie równie dobrze, o czym się zaraz przekonamy”. Sprawdzenia ustny nie wypadł jednak dobrze, a po lekcji chłopcy na moją propozycję gry w siatkówkę odpowiedzieli, że muszą się uczyć.

W tej samej klasie jeden z uczniów, przy oznaczaniu praw Newtona zapytał mnie, czy znam piąte prawo Newtona. Popatrzyłem na niego z zaciekawieniem, zaskoczył mnie tym pytaniem. Powiedział, że ciało raz puszczane w ruch, dalej samo się toczy. Oczekiwał ode mnie i od klasy uśmiechu, zabawy, ale spotkał się z chłodnym przyjęciem. Jak

gdyby nigdy nic kontynuowałem lekcję — nie mogłem pozwolić na skrócenie dystansu między uczniem i nauczycielem.

Do czego służyły paski do sukienek

Najzabawniejsze zdarzenie miało miejsce w 1949 roku w czasie małej matury¹²⁸. Wówczas uczniowie jeszcze ją zdawali. Po ukończeniu czterech klas gimnazjalnych — promowała ona do rozpoczęcia nauki w liceum. Pani dyrektor poprosiła mnie, bym pełnił dyżur przy pisemnym egzaminie z matematyki. Wychodząc z pokoju nauczycielskiego, na korytarzu zauważyłem uchylone drzwi tej sali, w której miałem mieć dyżur. Dochodził stamtąd szum, mieszały się głosy: „to do nas idzie, to do nas idzie”.

Wszedłem do klasy, wydałem papier do pisania ostemplowany pieczątką szkoły, podałem tematy pracy pisemnej z matematyki. Po dwóch godzinach podeszła uczennica do mnie, do katedry i poprosiła o dodatkowy papier do pisania, gdyż skończył się jej. Ja, w dobrej wierze, wyszedłem do pokoju nauczycielskiego, gdyż tylko tam był

¹²⁸ Egzamin zdawany po ukończeniu czteroletniego gimnazjum. Po małej maturze uczniowie mogli uczyć się w liceum lub szkole zawodowej. Gimnazja zostały zniesione w 1948 roku, jednak tym, którzy rozpoczęli już nauczanie w tym systemie, pozwolono dokończyć je na starych zasadach.

przygotowany papier. Trwało to kilka minut. Wracam do klasy i widzę taki obrazek...

Przy otwartym oknie drugiego piętra stoi grupka uczennic i uczniów, wychylają się przez okno na zewnątrz i w pewnej chwili podrywają coś do góry. Zakotłosał nad ich głowami jakiś kolorowy pasek, który, spadając, oplótł korpus jednej z uczennic.

W tej chwili cała uwaga klasy skupiła się na tym, co dzieje się przy oknie. Nie zauważyli mnie, gdy wszedłem do klasy. Nie zareagowałem i odwróciłem się od okna, poszedłem w stronę katedry. Z chwilą zauważenia mnie — znieruchomieli i czekali na reakcję z mojej strony. Ja natomiast celowo pozostawałem odwrócony od okna przez kilka minut — następnie wziąłem papier i podałem uczennicy.

Okazało się, że brak papieru to nie był przypadek, ale zamierzenie. Chcieli, bym opuścił na chwilę klasę, by przez okno mogli wciągnąć rozwiązania zadań. Do tego użyli linki, wykonanej z kolorowych paszków do sukienek, jakie zebrali od swoich koleżanek.

Dowiedziałem się później od kolegi, który uczył matematyki w na-

stępnym roku, jak uczniowie pozytywnie mnie ocenili, że kiedy wymagałem, to byłem surowy, a na egzaminie okazałem zrozumienie i udawałem, że czegoś nie zauważyłem.

Szkolna tablica

Pewnego razu, a było to w miesiącu maju, wszedłem do klasy i kątem oka zobaczyłem napis na tablicy o następującej treści: „Panie profesorze, prosimy nas dzisiaj nie pytać. Byliśmy wczoraj na wycieczce”. Udawałem, że nie zauważyłem. Zapisalem w dzienniku temat lekcji i wstałem. Zwróciłem uwagę na tablicę i spytałem, kto dzisiaj ma dyżur. Poderwała się taka skromna dziewczynka. Zapytałem, dlaczego tablica nie jest czysta. Uczennica szybko starta napis na tablicy i skierowała się do ławki. Poprosiłem, by pozostała przy tablicy i odpowiadała na pytania dotyczące ostatniej lekcji.

To zdarzenie musiało być zapamiętane w szkole, bo jakiś czas później poprosiła mnie do siebie pani dyrektor i powiedziała mi, że była u niej przed chwilą delegacja uczniów z klasy z prośbą, bym ich dzisiaj nie pytał, gdyż wrócili przemęczeni z wycieczki. Spełniłem życzenie.

Tak się złożyło, że ta uczennica, która ścierała tablicę, mocno utkwiała mi w pamięci. Przed zakończeniem roku szkolnego pani dyrektor poprosiła mnie, bym wpisał oceny do dziennika. Okazało się, że wpisywałem pierwszy. Kiedy miałem wpisać ocenę, w przypadku tej skromnej dziewczynki zastanawiałem się czy ocena powinna być dobra, czy dostateczna. Nie mogłem się zdecydować, ale w końcu wpisałem dostateczną. Okazało się, że ocenę dostateczną z przedmiotu miała tylko jedną na świadectwie i mocno to przeżywała. O tym opowiadał mi mój kolega nauczyciel, który dodał przy tym, że była taka opinia w klasie, że ta dziewczyna podkochiwała się we mnie.

Po pewnym czasie doszedłem do przekonania, że przy takich wątpliwościach należało przyjąć ocenę korzystniejszą dla ucznia. Brakowało mi jeszcze doświadczenia.

Ta sprawa niespodziewanie wróciła do mnie w latach dziewięćdziesiątych. Będąc na emeryturze, zbierając dla syna Tadeusza zamówienia na towar, byłem w Andrychowie. Paniom ze „Spotem”¹²⁹ przyznałem się, że w latach pięćdziesiątych uczyłem w tutejszym gimnazjum.

¹²⁹ Sieć spółdzielni spożywczych działających 1868 roku prowadząca między innymi sklepy spożywcze.

Te pobiegły do księgowości i przekazały pracownikom. Za chwilę przyszła grupa pań. Stały, przyglądały się i odeszły. Została tylko jedna, która długo jeszcze pozostawała w sali. Przypatrywała mi się i ja zwróciłem na nią uwagę, bo skojarzyłem ją z tą dziewczyną. Ten moment odświeżył we mnie wspomnienie i jeszcze bardziej utrwalił je w pamięci.

Miłe wspomnienia łączę z tą szkołą. Myślę, że dogadywałem się z uczniami i potrafiłem utrzymać autorytet nauczyciela. Pozostał tylko jakiś niesmak, związany z zaniżeniem oceny i wyrządzeniem krzywdy tej uczennicy. Może przesadzam? Przecież każdemu z nas zdarzało się, że zostaliśmy niesprawiedliwie ocenieni. Czy mamy o to żal po latach? W tym przypadku problem jednak polega na tym, że ja tę sytuację zapamiętałem.

O autorach komentarzy

dr Janusz Radwański – adiunkt w Dziale Etnograficznym Muzeum Kultury Ludowej w Kolbuszowej.

Absolwent filologii polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, na którym obronił pracę doktorską pod tytułem „Język i tożsamość regionalna elit społecznych wsi lasowiackiej”, absolwent kulturoznawstwa na Uniwersytecie Rzeszowskim oraz Podyplomowego Studium Muzeologicznego UJ.

Uczestnik wielu terenowych badań dialektologicznych i etnograficznych. Zajmował się badaniami relacji między językiem a systemem wartości, poezji ludowej a także gwary lasowiackiej i gwar rzeszowskich.

dr Tomasz Sudot – pracownik Biura Badań Historycznych Instytutu Pamięci Narodowej.

Absolwent historii na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie, autor książek: „Poligon Wehrmachtu „Południe”” (Rzeszów 2009) oraz „Zbrodnie wojenne Wehrmachtu popełnione na żołnierzach Wojska Polskiego w okresie od września do grudnia 1939 r. Tom 1. Geneza zbrodni, zbrodnie na polu walki” (Warszawa 2025).

Autor artykułów historycznych poświęconych niemieckiej okupacji 1939-1945 na ziemiach polskich oraz artykułów dotyczących ziemi tarnobrzeskiej.

Spis treści

Słowo wstępne dzieci autora	6
Słowo wstępne wydawcy	7
I Moi Rodzice	17
Mój Tata	17
Moja Mama	21
II Moje dzieciństwo – do lat szkolnych	25
Mieszkałem w Budzie Stalowskiej	28
Mieszkałem w Cegielni koło Bukiego	29
Mieszkałem na Kosiarzowym Grądzie	31
Tradycje rodziny w okresie świąt Bożego Narodzenia	33
Narodziny najmłodszego brata Andrzeja	36
Pierwsza moja praca w gospodarstwie	37
Warunki bytowania	38
Warunki materialne w domu	40
Włókna z lnu i konopi do wyrobu tkanin	42
Pranie bielizny lnianej	44
Środowisko przyrodnicze	45
Opieka zdrowotna	53
Moje pierwsze pieniądze	55

III Cząsy szkoły podstawowej 57

Szkoła podstawowa w Jadachach 57

Szkoła podstawowa w Wydrzy 60

Skończyłem szkołę – czas na robotę 64

Mama proponuje mi dalszą naukę w szkole 67

Siódma klasa w Tarnobrzegu 68

Polowanie na czaple 71

Mamy radio na słuchawki 74

IV – Okres szkoły średniej 75

Gimnazjum w Tarnobrzegu 75

Wiśła 76

Harcerstwo 78

V Okres okupacji niemieckiej 81

Wojna – rok 1939 81

Zachorowałem – zapalenie płuc, czerwotka 87

Tajne nauczanie 90

Aresztowania wiosną 1941 roku 94

Nasłuch radiowy 96

Żołnierz niemiecki z karabinem na dziki 98

Praca w gospodarstwie domowym 101

Zagrożenia 103

Niemcy i kwaśne mleko	104
Wyprowadzamy się na Bukie	107
Liceum Rolnicze w Suchodole koło Krosna	108
Urlaubzug	110
Liceum Rolnicze w Czernichowie	114
Obóz w Krakowie-Płaszowie	116
Obóz nad Sanem koło Rozwadowa	119
Obóz w Pustkowie koło Dębicy	124
VI Pierwsze dni odzyskania niepodległości	130
Nadejście frontu	130
Apropowizacja Rosjan	132
Pozostawienie gospodarstwa	135
VII Okres do ofensywy styczniowej 1945	140
Oficer w granatowym mundurze	140
Próby aresztowania Taty	141
Zostałem uznany za szpiega	143
Broniłem swojego roweru	146
VIII Liceum w Tarnobrzegu	149
Znowu w szkole	149
Napad rabunkowy na mieszkanie dyrektora browaru	151
Oddział NSZ na Bukiem	153

Spotkanie z tajemniczymi mężczyznami	156
IX Wyższe studia w Krakowie	159
Świadectwo dojrzałości – matura	159
Studia a polityka	163
Warunki bytowania w czasie studiów	165
Staszek, mój najbliższy kolega	167
Szkolne lasy doświadczalne Uniwersytetu Jagiellońskiego	169
Praktyki wakacyjne	171
Praca zarobkowa w czasie studiów	172
Próba aresztowania plantatora	174
X Praca w szkolnictwie	177
Szkoła w Andrychowie	177
Do czego służyły paski do sukienek	182
Szkolna tablica	184
O autorach komentarzy	187



Wspomnienia z okresu przeżytych 81 lat
ujmują wydarzenia i odczucia, które zapamiętałem,
zapisuję je na prośbę syna Tadeusza
dla moich Dzieci i Wnuków, ku potomności.

Józef Jadach